Nr. 31. Warszawa, dnia 22 Lipca (3 Sierpnia) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**. rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. **k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIEMCY W AUSTRYI.

Minęły już dawno dla niemców przedlitawskich te błogie czasy, kiedy wyraz „centralizm" był jednoznaczny z „centralizacyą niemiecką." Trwały one krótko, zaraz po konstytucyi szmerlingowskiej z 26 lutego 1861 r. do czasu konstytucyj beustowskich i układu z Węgrami w r. 1867. Zaraz potem zaczęło się niemiectwo rozpadać według przekonań religijnych, politycznych i społecznych. Już w r. 1870 Hohenwart miał silny zastęp t. zw. klerykalnych z tyrolczyków, katolików - niemców ze Styryi, Krainy, Austryi wyższej. Rdzeniem niemieckości i zarazem centralizmu byli w epoce słynnych artykułów fundamentalnych dla Czech niemcy czescy i niższoaustryaccy, specyalnie wiedeńscy, ci ostatni przejęci silnie żydowstwem, a wolni jeszcze wówczas od dzisiejszego antisemityzmu. Do apogeum swego wzbili się niemcy w Austryi w tak zwanem „Bürgerministerium," w r. 1872—79 i dorwawszy się do władzy, spłodzili z nią dzisiejszy „Reichsrath," bezpośrednio wybierany przez ogół mieszkańców Przedlitawi, politycznie uprawnionych. Gdy się dni ich panowania skończyły, bilans polityczno-umysłowy Austryi wykazał: niemiecki Schulverein w Czechach, sięgający w głąb przedlitawskiej połowy monarchii, stronictwo Bismarkowskie, ciążące do Niemiec, mnóstwo praw, hamujących logiczny rozwój autonomii krajów w system federacyjny i rzucone zarzewie wojny domowej, wprawdzie bezkrwawej, w krajach korony czeskiej.

Chciało się tym niemcom po dawnemu wyłącznie rządzić, panować, a im więcej spotykali trudności w dostaniu się do władzy, którą w r. 1879 cesarz Franciszek Józef oddał przyjacielowi swemu, hr. Taaffemu, jednemu z najlepszych sterników politycznych w Europie — tem więcej żaru sypali na swych przeciwników, na inne narodowości — stosunkowo jeszcze najwięcej względności okazując dla Galicyi. Tu politycznie wcale nie istnieją, a statystycznie zaledwie pod mikroskopem wykryć się dadzą. Tylko żydowska Izba handlowa w Brodach sprawiała niemcom przyjemność przez wysyłanie do Wiednia jakiegoś współwyznawcy politycznego. Czasem też ciemne żydowstwo prowincyonalne przepchnęło do Izby jakiego rabina. Gdy rządy Taaffego przedłużały się w nieskończoność, niemiectwu nie wystarczyło już ogólne zrzeszenie się w połączoną lewicę: za Dunajewskiego, jakby przez niego podrażnieni polityką, manifestacyjnie stającą na gruncie równouprawnienia, rozpadli się na czystych niemców (Deutschnational) niemieckich, z biegunem magnetycznym w Berlinie, i na niemców austryackich, którzy nazwę całości, „Vereinigte Linke," na sobie przechowali, choć całości samej już nie było. Przed trzema laty zaczęła się w Wiedniu wykluwać partya anti-semitów i w roku bieżącym przedstawia już gromadę z kilkunastu sztuk złożoną. Niezależnie od tego dawna odrębność katolików hohenwartowskich przez czas potężniała, zacierając coraz bardziej etnograficzną i cywilizacyjną jedność germańską. O centralizmie niemieckim, skupiającym wszystko w rękach niemców — mówi się już dzisiaj, jak o wytańczonym trzewiku. Niemcy rozbici byli w ostatniej chwili na sześć grup: niemców czeskich, najświetniejszych, niemców, ściśle austryackich, już łagodniejszych, niemców niemieckich, stanowiących Górę w obu tych stronnictwach, niemców zwanych „klerykalnymi" a trzymających z Hohenwartem, anti-semitów, i wreszcie semitów, żydów zniemczonych, głównie w Wiedniu.

Sprawa gimnazyum cylejskiego grozi rozbiciem niemiectwa austryackiego jeszcze na siódmą grupę. „Zjednoczona lewica," składająca się z niemców trzech powyższych kategoryj, w głosowaniu nad etatem dla tej szkoły — jak smok legendowy strasznej — rozpadła się na dwa odłamy. Jedni głosowali *za*, drudzy *przeciw*; drugich było wszakże mniej, niż pierwszych, co wskazuje przewagę prądów łagodnych — częściową abdykacyę z rojeń o wszechwładzy. Przemogła uczciwość polityczna i w głosowaniu nad całym budżetem. Większość lewicy głosowała za daniem rządowi środków pieniężnych do rządzenia. Przegłosowani zapaleńcy nie chcą wprost wpłynąć w narodowców niemieckich, lecz stawiają warunki, któreby mogły doprowadzić do zorganizowania nowego zupełnie stronnictwa, z dwóch dzisiejszych rozłamów. „Zjednoczona lewica" miała 109 członków i była istotnie najliczniejszem stronnictwem w Przedlitawii; teraz, po nowem rozbiciu, z tą potęgą liczby niemcy niepowrotnie już rozstać się będą musieli. Tylko strach wobec nieprzyjaciela może ich jeszcze w ostatniej chwili zlepić napowrót w jednę całość, ale już nie tę wszystkich ogarniającą — bo czasy jej minęły i nie wrócą już nigdy — chybaby wróciły systemy Stadionów i Bachów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Sofii sądy pełnią swój obowiązek— bez gorliwości, ale i bez lekceważenia. Trzech sprawców siedzi już w więzieniu: Dżeordżew (Georgiew), Tiufekczyew i Iwanow, student, schwytany już w ucieczce na prowincyi, ten sam, którego służący Stambułowa zranił podczas napadu. Czwartego sprawcę ujęto już w tych dniach, również po za obrębem Sofii. Zdaje się, że jeśli względy polityczne nie założą protestu, zbrodnia będzie ukaraną; samą zresztą politykę krępować musi wstyd przed całym światem. Gdyby szło o coś większego, wstyd-by nie wystarczył

ale w sprawie wymierzenia kary na ciemne jakieś osobistości, dla samej polityki obojętne — będzie miał chyba dość siły, aby wolny bieg sprawiedliwości zapewnić.

Książę Ferdynand Koburski wyjeżdżał z Karlsbadu do Koburga. Towarzyszyła mu i żona. W Koburgu odbył naradę rodzinną, w której uczestniczyła matka jego, księżna Marya Klementyna, i brat, Filip. Postanowienia ukrywają się jeszcze w cieniu. O księżnie małżonce mówiono, że nie ma ochoty wracać do Bulgaryi i syna swego, dwuletniego księcia Borysa, przy sobie chce zatrzymać. Rodzina cała podobno uważa panowanie za zły interes, nawet pod względem finansowym. Ks. Ferdynand miał dotychczas wydać z kapitałów majątku wspólnego, wynoszących 22 miliony franków, przeszło 9 milionów: oczywiście, koszt większy, niż pożytek, gdyby nawet do niego wliczyć i ambicyę rządzenia milionami ludzi — bo jakież to było rządzenie?

Deputacya bulgarska wraca już do kraju na Wiedeń. Wstąpienie jej tutaj jest faktem nie pozbawionym znaczenia. Deputacya, metropolita Klemens i prezes zgromadzenia narodowego, Teodorow, mogą lepiej odpowiedzieć teraz na pytanie: co będzie?, niż p. Stoiłow i jego koledzy, albo nawet i sam książę Koburski, o ile się nie rozstał z myślą panowania. Jeżeli wróci do Sofii, to prawdziwie dla zabrania rzeczy; gdyby nawet syn jego miał utrzymać na tronie, on sam nie utrzyma się przy regencyi; a nie powierzy jej też stronnictwo działające ani jego matce, ani żonie. Mały człowiek, jakim jest książę Ferdynand — nie dorasta rzeczywistości nawet do kolan: może jeszcze czas pewien pędzić żywot charłaczy, jeśli mu tak szych władzy jest miłym, ale panować nigdy już nie będzie.

Sprawa bulgarska wewnętrzna zajęła żywo gabinet wiedeński. Narada d. 20 lipca, odbyta w Ischl pomiędzy ces. Franciszkiem Józefem a ks. Hohenlohem, tę sprawę miała za przedmiot. Dziwną przytem okazała się rola hr. Gołuchowskiego; zdaje się, jak gdyby Franciszek Józef sam bezpośrednio chciał politykę Austryi wobec zamętu bulgarskiego prowadzić, a ks. Hohenlohe znowu wolał porozumiewać się z cesarzem, niż z ministrem austryackim. P. Gołuchowski gotów już jechać do Aussee, otrzymał niespodziewanie wiadomość, że kanclerza niemieckiego tam niema, gdyż wyjechał — na polowanie! Po takiej odpowiedzi minister już nie czekał — wrócił do Wiednia.

Powstanie macedońskie robione jest ciągle piórem na papierze, a roznoszone po Europie przez telegraf. Obecnie, jeżeli co jeszcze się trzyma, to w bardzo marnej postaci. Turcy, nawet oni, dadzą sobie z tem radę, chybaby rząd bulgarski wziął już jawnie na udry i w planie wielkiej polityki powstanie macedońskie zamieścił. Serbowie uważają ruch za skończony, a odpowiedzialność za ruchawkę zwalają na ludzi w Sofii. Sami spodziewają się dla serbów macedońskich ustępstw od Porty, zwłaszcza biskupów narodowych. Takich biskupów otrzymali już i grecy dla siebie, jeszcze dawniej. Bulgarowie także ich mieć będą, bo Porcie to nie szkodzi, nawet pomaga, gdyż w Dywanie wiedzą, że się jedni z drugimi gryźć będą.

Z Kuby, po wyzwoleniu w środku lipca Martineza Camposa z pod Bayamo, gdzie go już osaczali powstańcy, przez dziesięć dni sytuacya wyglądała różowo dla hiszpanów. Teraz znowu się zasępia. Przez Londyn — a więc drogą nie zupełnie wiarogodnych wieści — nadchodzi z Hawany wiadomość o zaskoczeniu wojsk rządowych pod St. Louis i zupełnem ich rozbiciu w d. 29 z. m., w poniedziałek. Hiszpanów kontynentalnych miało być 2,000, zginęło 675, a 400 wraz z czterema działami przeszło do powstania. Jeżeli się wiadomość sprawdzi, będzie to istotnie cios. Posiłki odpływają; może ich nie zbraknie, ale ostateczne zmożenie tak będzie drogo kosztowało, że chyba Hiszpania będzie musiała sprawić sobie jaki płaszcz ogniotrwały, nadając Kubie ustępstwa.

W Anglii wybory już ukończone. Zwycięstwo unionistów na całej linii; 153 głosy przewagi nad przeciwnikami: irlandczykami i liberalnymi (gladstończykami). Zachowawców wybrano 240, liberalnych unionistów 170, liberalnych czystych 174, irlandczyków 81 (12 parnelistów) i 2 robotników (w Anglii właściwej). Z trzech okręgów brakło jeszcze wiadomości. Irlandczycy stratę swą liczebną mają do zawdzięczenia swym niezgodom.

We Francyi nastał miesiąc Rad generalnych. Wybory częściowe dały przewagę republikanizmowi, pieczonemu z mąki rządowej.

We Włoszech z powodu rozpraw nad Afryką d. 30 z m., Crispi miał mowę dalekonośną. O niej w przyszłym tygodniu.

BADANIA NAUKOWE.

BADANIA METEOROLOGICZNE.

Skończyło się w lipcu r. b. dziesięć lat od chwili utworzenia stałych, systematycznych badań na stacyach meteorologicznych w kraju. Staraniem ówczesnej sekcyi II (dziś VI) Towarzystwa przemysłu i handlu, r. 1885 w lipcu zaczęła działać prawidłowo cała sieć stacyi z Biurem centralnem przy Muzeum przemysłu i rolnictwa. Duszą owej organizacyi był Eugeniusz Dziewulski, przedwcześnie zgasły pożyteczny pracownik na polu fizyografii krajowej. Z początkiem r. 1886 stacya główna otrzymywała już stale spostrzeżenia z czternastu pomniejszych: Czersk, Józefów, Michałów, Młodzieszyn, Oryszew, Sanniki, Ostrowy, Częstocice, Łubna, Krasiniec, Leśmierz, Kremieńczuki, Sokołówka, Uładówka. Nie wszystkie one wszakże przetrwały dziesięciolecie; do ostatniej chwili nieprzerwanie działały tylko następujące: Młodzieszyn, Oryszew, Ostrowy i, naturalnie, Warszawa i Płońsk. Okres ich istnienia jest już dość długi na to, ażeby można było z sumy spostrzeżeń wyciągnąć pewne wnioski co do klimatu. Parę ważniejszych szczegółów da jakie takie pojęcie o działalności tych dostrzegalni: W maju nadsyłały spostrzeżenia 33 stacye. Do ogólnej sieci wejdzie także 9 deszczowych, założonych przez kolej Wiedeńską. Tym sposobem będzie wszystkich 42—cyfra na pozór spora, w stosunku atoli do potrzeb i należytych badań—zbyt skromna; przytem stacye niedobrze są rozłożone: w jednem miejscu za dużo, w drugiem za mało; skutkiem tego całe prowin-

---

9)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 14

Ziemia przespała już połowę nocy snem twardym i ku świtowi miała lżejszy. Ciągle budziła się to w szmerze liści, to w trzepotaniu się lub krótkich i cichych pogwizdach ptaków, to w żywszych ruchach fal morza. Księżyc schodząc ze swej straży, zapatrzył się w zbocze jednej góry i oświecił je szerokiemi smugami. Od domu, w którym mieszkał Wir-Wir, pomknęły cztery postacie.

Pierwsza kobieta.

Dokąd nas prowadzicie?

Pierwszy mężczyzna.

Do swoich.

Druga kobieta.

Ulitujcie się nad nami i nie zabijajcie.

Drugi mężczyzna.

Dzieciaki jesteście! Na cóż mielibyśmy to robić?

Pierwsza kobieta.

Ja się boję.

Pierwszy mężczyzna.

Cicho, żabki, bo Wir-Wir siedzi jeszcze na tarasie.

Druga kobieta.

Czy wy tylko ukryjecie nas, a sami wrócicie?

Pierwsza kobieta

Cóż my poczniemy same? Złapią nas, ochłoszczą, napiętnują..

Druga kobieta.

Och!

Drugi mężczyzna.

Nie opuścimy was...

Pierwsza kobieta.

Wir-Wir was lubi, darował wam nas... Czemuż nie zostaliście.

Druga kobieta.

Bogowie, dokąd ci ludzie nas wiodą?

Pierwszy mężczyzna.

Ot tam!

Wskazał ręką środkową fałdę góry, po której w blasku księżyca przesuwał się po przełęczy długi łańcuch cieniów ludzkich. W tym kierunku cztery postacie pospieszyły i wkrótce znikły między drzewami i bruzdami skał. Długo nie było nic słychać, tylko grzechot kamyków, usuwających się im z pod stóp na stromej ścieżce; wreszcie wybiło się z dołu przeciągłe i stłumione hasło:

Ar-jo-os!

W odpowiedzi z góry spadło:

Ar-jos!

Widok 15.

W spokojnem morzu leżał z nieruchomemi wiosłami statek na kotwicy, niby wieloryb, który schwytany hakiem, wypłynął martwy na wierzch i rozpostarł swe długie płetwy. Księżyc skradł tej nocy słońcu pełną tarczę światła i oddawał je swej kochance — ziemi. Drobne fale, osrebrzone tymi blaskami, tworzyły na powierzchni wody ruchomą i migotliwą łuskę, jak gdyby zdziergana z ogników. Cisza nie trącała nawet żagla, zwieszonego na maszcie, jak zwiędły kwiat na łodydze.

Wiankiem postaci ciemnych usiedli na pokładzie majtkowie i śpiewali chórem przyciszonym pieśń smętną, jak gdyby łzami nasiąkłą. Ostatnie jej tony ledwie odrywały się od ich ust i ginęły w niewyraźnym szmerze. Po długiem milczeniu zawiązali rozmowę.

— Mnie się zdaje, że niebo musi być dnem morza, że gwiazdy — to świecące rybki, które w niem pływają i które księżyc co wieczór łowi aż do świtu.

— Kiedy te same nazajutrz się pokazują.

— Może on ich nie zjada, tylko bawi się i złapane wypuszcza.

— E, to by mu się uprzykrzyło.

— To też on często wcale nie wyjeżdża na łowy.

— A ja przypuszczam co innego. Niebo jest zapewne podłogą pałacu bogów, a księżyc i gwiazdy to są ich klejnoty, które oni zdejmują z siebie na noc i rozrzucają.

cye są pozbawione spostrzeżeń. Bardzo ubogie pod tym względem są gubernie: płocka, suwalska i lubelska. Największy zaś brak daje się odczuwać w dziale stacyj „pluwiometrycznych.“ Ta wszakże niewielka garstka stara się zająć wybitne stanowisko i nadać swym badaniom charakter poważny. W tym celu zawiązała stosunki prawie ze wszystkiemi stacyami w Europie i Ameryce, chociaż ze względu na szczupłe środki nawet nie może swego delegata wysyłać na zjazdy międzynarodowe.

Tak więc naszą organizacyę meteorologiczną i jej dziesięcioletnią działalność można nazwać ledwie zarodkiem urządzeń, które kiedyś wydadzą widoczne i pożyteczne owoce. Dzisiaj ten dział badań nie jest popularnym, a nawet w większości wypadków nie cieszy się uznaniem. Ogół nasz nie przywiązuje wagi do ich roli, nie wnika w znaczenie ani deszczomiarów, ani obserwacyj klimatologicznych, a przepowiednie pogody (nie objęte programem naszych stacyj), ze względu na częste omyłki i niedokładności, wprost potępia i uważa za pewnego rodzaju znachorstwo. Inaczej wogóle meteorologię traktują uczeni specyaliści. Przedewszystkiem chodzi im o zbadanie właściwości klimatycznych danej przestrzeni kraju tudzież zgłębienie praw ogólnych, wpływających na zjawiska atmosferyczne. Dotychczasowe owoce dociekań i zabiegów na tem polu w Rosyi, scharakteryzował prof. A. Klossowski w osobnej broszurze, wydanej r. 1894 przez Towarzystwo przyrodników przy uniwersytecie Noworosyjskim w Odesie, pt. „Organizacya specyalnych badań klimatycznych w Rosyi i zadania meteorologii rolniczej.“ Dzięki pracom głównego laboratoryum fizycznego, państwo posiada około 550 stacyj drugorzędnych dla badania wszystkich główniejszych sił i zjawisk meteorologicznych, tudzież około 300 trzeciorzędnych dla spostrzeżeń pomniejszych. Dotychczasową pracę w tym zakresie zebrano już w obszernych wydawnictwach.

Wszystkie te wszakże dostrzegalnie w obrębie Rosyi nie miały jeszcze ani czasu, ani środków na wydanie owoców takich, jak za granicą. We Francyi np. organizacya ta oparta jest na silnych podstawach, a badania meteorologiczne są głównie prowadzone przez specyalne komisye departamentów, dzięki czemu każdy departament liczy setki spostrzegaczów, a obserwacye burz grupowane są w osobnych wydawnictwach p. t. *Atlas des orages i Mémoires du Bureau Central méteorologique de France.* Nadto istnieje oddzielna hygrologiczno-deszczowa sieć stacyj w basenie Sekwany. Dzięki systematycznym spostrzeżeniom, prowadzonym przez specyalistów, dokładnie zbadano zależność wahań powierzchni rzeki od ilości wód atmosferycznych i nawet zdobyto możność czynienia obliczeń poziomu wody na przyszłość. W Czechach wylew rzek, sprawy leśne i wiele innych, wpłynęły na stworzenie takich zarządzeń, dzięki czemu r. 1890 istniało tam już ogółem 715 stacyj (18 drugorzędnych i 697 trzeciorzędnych). Liczba ta jest ogromną w stosunku do niewielkiej przestrzeni kraju. Anglia, oprócz centralnej instytucyi meteorologicznej, urządziła gęstą sieć stacyj deszczowych. Włochy prowadzą tego rodzaju spostrzeżenia głównie dla poznania natury gruntów, ulegających częstym zmianom. Między innemi istnieje tam obserwatoryum geodynamiczne i sieć stacyj dla badania najmniejszych wahań gruntu, wód i gazów, wydobywających się z ziemi. W Rumunii z początkiem r. 1885 powstała sieć stacyj i w listopadzie r. 1893 liczyła już jedną pierwszorzędną z przyrządami samopiszącymi, 22 drugorzędne, (odpowiadające naszym zupełnym), jedną trzeciorzędną i 116 czwartego rzędu, posiadających tylko termometr i deszczomierz. W tym samym więc okresie co u nas daje się tam spostrzegać rozwój znacznie większy. Powodzenie owe między innemi tłómaczy zasobność tej organizacyi: roku 1894 budżet służby meteorologicznej w Rumunii wynosił 73,000 fr. Wielce bogate i liczne są również stacye niemieckie, ale wprost imponujące, jak wiele innych urządzeń — w Ameryce. Sieć w Stanach Zjednoczonych za listopad r. 1894 według sprawozdania liczyła przeszło 3,200 stacyj. Nie liczba wszakże jest tu godną uwagi, lecz sprawność, udoskonalenia środków spostrzeżeń, dokładność i szybkość doniesień. To też w Ameryce koszt służby meteorologicznej wynosi rocznie 1,500,000 dolarów.

Jakże są skromne nasze usiłowania i działalność w tej mierze! W roku przeszłym stacya centralna przy Muzeum przemysłu i rolnictwa, chcąc przedsięwziąć badanie burz, nawiedzających Królestwo Polskie, tudzież gubernie sąsiednie, rozesłała kwestyonaryusz do wszystkich ludzi „dobrej woli“ z prośbą o pomoc. W rezultacie zdobyła 60 punktów obserwacyjnych, które nie odpowiadają nawet w połowie istotnej, skromnej potrzebie, gdyż dla rozpoczęcia badań stałych należy posiąść co najmniej jeszcze 100 takich dostrzegalni. A przecież pomoc ogółu nie byłaby tu ani zbyt trudna, ani kosztowna, oddałaby jednak nieocenione usługi krajowi. Oczywiście robota owa przystępna jest tylko w zakresie śledzenia burzy, bo tu wystarcza ścisłe trzymanie się wskazówek szematycznych: czas nadejścia burzy, ukazanie się pierwszych błyskawic i odezwania grzmotu, chwila największego natężenia, kierunek chmur i wiatru, opady atmosferyczne. Jest to szereg badań, które potrafi wykonać każdy człowiek bez specyalnego przygotowania. Ale meteorologia w całej rozciągłości ma szersze i poważniejsze zadania. Prawdziwy pożytek tylko wtedy ona przyniesie, gdy będą czynione stałe spostrzeżenia na znacznych przestrzeniach kraju. Oprócz zjawisk atmosferycznych, należy prowadzić systematyczne badania klimatu i — świata roślinnego. Ze śledzenia bowiem różnych szczebli rozwoju kultury roślinnej, można mieć od czasu do czasu dokładną charakterystykę stanu posiewów. Spostrzeżenia zaś w zakresie pogody i rozwoju świata roślinnego ułatwia odkrycie zależności obu kategoryi tych zjawisk. Takie stałe obserwacye ułatwią w przyszłości czynienie prawdopodobnych obliczeń w zakresie rozwoju kultury roślinnej. Gdy dziś całe te urządzenia, w mniemaniu ogółu, są zmarnowaniem czasu i pieniędzy, zabawką jałową — w przyszłości meteorologia dojrzała, rozwinięta, wzbogacona, stanie się ważnym czynnikiem w życiu ekonomicznem. Tak np. względnie dokładne przewidywanie urodzajów ułatwi wczesne uregulowanie rynków, da możność zapobiegania klęskom do pewnego stopnia. Długie i stałe spostrzeżenia pozwolą zebrać materyał, który utoruje drogę do poznania różnych przyczyn i wpływów, zgubnych dla zboża

---

— Po cóż by rozrzucali? Może gwiazdy gubią po drodze, a księżyc, ich niewolnik, przez noc je zbiera i rano oddaje.

— Lekką ma pracę.

— Kto to wie! I on zapewnie bywa bity, bo wychodzi nieraz z twarzą obrzmiałą i czerwoną.

— Niewolnik nie może być szczęśliwy nawet w służbie u bogów.

— Prawda, zawsze jednak bóg jest sprawiedliwszy, miłosierniejszy, nie tak chciwy i okrutny, jak człowiek.

— O, tak, najgorsze dusze nie wlazły w ciała lwów, hyen, lampartów, ale w ludzi. Poprzednio byłem u pana, który pozwalał dzieciom kreślić nam na grzbietach kółka i strzelać do nich z łuku. Zanim niewprawny malec trafił w cel, utkał strzałami całe plecy. Dotąd mam jeszcze znaki tej zabawki.

— Ja miałem takiego, który za najmniejsze przewinienie kazał nas smagać drutami i rany przez trzy dni smarować octem.

— A co ja wycierpiałem! Przez lat kilka byłem własnością pewnego obywatela, który wydawał się niezłym. Ale raz zdechł nagle wół, którym orałem, a wyzwoleniec, zarządzający gospodarstwem, doniósł, że ja zwierzę otrułem. Pan kazał odrąbać głowę wołu i zawiesić mi na szyi, na której musiałem ją nosić dopóty, dopóki wszystko mięso z niej nie ogniło i nie opadło. Cztery tygodnie miałem pod nosem robaczywą padlinę. Nie wiem, co było gorsze: jej widok, czy odór. Wolałbym śmierć, niż drugą taką karę.

— Mój pan, u którego się urodziłem, był dosyć łagodny, ale jego żona! Wściekła kocica! Rozgniewawszy się na niewolnicę brzemienną, kazała ją wysiec rózgami i tylko pod brzuch podłożyć poduszkę, nie przez litość, ale przez skąpstwo, ażeby ta nie urodziła przed czasem dziecka, któreby się zmarnowało.

Biała postać, niedostrzeżona przez rozmawiających, wyszła z kajuty i stanęła po za żaglem.

Sternik.

Moi kochani, to są katusze okropne, ale ja przeszedłem chyba jeszcze cięższą. W młodości należałem do strasznego okrutnika, który znęcał się nad nami jak najdziksze zwierzę. Moja matka doglądała kurcząt. Otóż kilkoro z nich porwał jastrząb. Pan kopnięciem powalił ją i kazał trzymać za nogi mnie, a dwom najsilniejszym niewolnikom bić prętami. Gdy skończyli tę kaźń, moja stara matka leżała martwa, a ja byłem cały obryzgany jej krwią.

— Kto służył u Wir-Wira, ten się napatrzył niedoli ludzkiej. Tak dręczył i mordował niewolników, że mniej wytrzymali jedli ziemię, ażeby się nią otruć! Jednego dnia dwudziestu w ten sposób się zabiło. Nie pozwolił ich ani spalić, ani zakopać, tylko kazał wrzucić do stawów dla nakarmienia ryb i raków.

— Tego wilczyca urodziła.

— Nasi państwo są lepsi.

Sternik.

Po co ty ich razem wymawiasz! Ona czysta jak źrenica boga, dobra jak słońce, miękka jak woda, troskliwa jak ziemia. On gładki, zimny i ostry jak nóż. Ciągle mu się zdaje, że drabina, na którą wlazł, nie jest jeszcze dość wysoka, więc sztukuje ją i wprawia nowe szczeble.

— Głupiec, raz na rok każe nas wszystkich lekko obić, ażebyśmy nie zapomnieli, że jesteśmy jego niewolnikami.

— Ona chyba o tem nie wie!

Sternik.

Niech bogowie bronią, żeby się dowiedziała! Od niedawna jesteś — pamiętaj nie poskarżyć się jej nigdy.

— On by się zemścił?

Sternik.

Mniejsza o to, ale ona by się zmartwiła. Kiedy niewolnik zasłabnie — ona z nim choruje. Nas bolą różne części ciała — ją zawsze serce. My cierpimy za siebie — ona za wszystkich. A gdyby jeszcze usłyszała, że nas biją!.. Umarłaby!..

— Cóż za szczególna pani.

Sternik.

Bardzo dziwna. W święta czterech pór roku wyprawiają nam uczty, na których dają tyle wina, ile zażądamy. Myśleliśmy, że to łaska pańska; tymczasem poczciwy Tarlon objaśnił nas, że pan chce, ażebyśmy tańcząc pijani i śpiewając sprośne piosen-

i wszelkich ziemiopłodów i dadzą środki skutecznej walki. Cała atoli dziedzina po za granicami czysto atmosferycznemi musi już należeć do specyalistów ukształconych i rzetelnych, których brak dzisiaj jest jednym z powodów tamujących rozwój tych badań.

Co do prognozy, budzącej właśnie największe niedowierzanie, rozporządza ona nietylko u nas, ale i na zachodzie tak słabymi środkami, że dotychczas większość przepowiedni jest mylnych i niedokładnych. Jedne tylko Stany Zjednoczone celują w tym względzie. Nasze biuro centralne jest bardzo ostrożne i nie chcąc się ośmieszać w oczach sceptyków, unika wszelkich przepowiedni, zresztą i środków na to niema. W najświeższem sprawozdaniu (drukowanem 140-ym nr. *Gazety cukrowniczej*), kierownik stacyi warszawskiej, prof. Kwietniewski, wypowiedział ciekawy pogląd na braki i potrzeby w tej mierze: Aby można było stawiać prognozy, odpowiednie do dzisiejszego stanu nauki, trzeba byłoby odrazu stworzyć biuro centralne, w którem należycie przygotowany personel otrzymywałby z rana każdego dnia depesze telegraficzne, z nich układał synoptyczne mapy pogody i na tej zasadzie stawiałby przepowiednie na 24 lub 36 godzin następnych. Taka organizacya biura wymaga sumy środków materyalnych, o wiele przewyższających zasoby posiadane. Nie dość wszakże ułożyć prognozę nawet dość wcześnie, ale należy przedsięwziąć wszelkie środki, aby przepowiednia dostała się wcześnie do wiadomości tych wszystkich, których obchodzi. Tylko Waszyngton umie tak szybko działać, że interesowani otrzymują depesze w najdalszych punktach kraju między 9 tą a 10-tą z rana. W Europie biura centralne rzadko stawiają prognozy przed 11-tą z rana. Zresztą w doskonale prowadzonych, wzorowych dostrzegalniach bywają dnie, w których przepowiednia nie może być przygotowana przed 1-szą po południu. Wogóle w Europie, z wyjątkiem przepowiedni, przeznaczonych dla wielkich portów morskich, depesze przychodzą za późno.

Cóż mówić o naszych stosunkach komunikacyjnych? Słusznie utrzymuje prof. Kwietniewski, że przepowiednie, biur nawet najdoskonalszych, rolnicy otrzymywaliby zawsze po terminie. W dzisiejszym stanie meteorologii — twierdzi ten sam specyalista — przepowiednia pogody nie są zupełnie pewne, ale tylko mniej lub więcej prawdopodobne. Daleko łatwiej przewidywać kierunek i siłę wiatru, aniżeli temperaturę lub deszcz. Z tego powodu lepiej udają się prognozy meteorologiczne, obchodzące żeglarza, aniżeli najważniejsze dla rolnictwa. Prócz tego chybiona przepowiednia, której zaufał żeglarz, całkiem inne może mieć następstwa dla niego, niż dla ziemianina. Przytem procent niesprawdzających się przewidywań jest rozłożony bardzo nierównomiernie w ciągu roku. Może np. niepowodzenie prześladować meteorologa przez dni kilkanaście z rzędu i to w najważniejszej porze roku. Rzecz prosta, iż wynikiem musi być brak wiary ogółu do badań tego rodzaju. To właśnie są powody, które skłoniły prof Kwietniewskiego do wprowadzenia obserwacyi tylko klimatologicznych. Ktoś ze specyalistów niedawno przyszedł do przekonania, że dla wielu stron naszego kraju tylko sześć do dwunastu razy w ciągu roku można przepowiadać niemylnie, dla niektórych zaś stawianie prognozy pewnej jest całkiem niemożliwe. To też na pochwałę zasługuje powściągliwość w tym względzie naszych meteorologów. Nawet na mocy długoletnich doświadczeń o pogodzie trudniej coś pewnego z góry powiedzieć, niż o kapryśnej histeryczce, bo tej natura fizyologiczna i duchowa łatwo daje się rozłożyć na pierwiastki wszechstronnie zbadane przez naukę. Myśli więc o pożytku przepowiedni trzeba zaniechać na długie lata, a tymczasem zająć się badaniem klimatu, świata roślinnego, i wreszcie popierać stacye „pluwiometryczne,“ gorąco zalecane przez prof. Kwietniewskiego. Na zachodzie Europy już w tym zakresie wiele zrobiono, a w Austryi niedawno powstała całkowita „służba hidrograficzna,“ której obowiązkiem jest badanie wszystkiego, co dotyczy rozdziału wód w kraju. Wielką usługę pod tym względem oddają właśnie deszczomiary.

P.

LITERATURA I SZTUKA.

NASZA KRYTYKA TEGOCZESNA.

III.

Otwarcie i wytrwale stojąc przy sztandarze naprawy w duchu oświaty nowoczesnej i zasad szczerze postępowych, Chmielowski zdała się trzymał od wszelkich krańcowości, które Krzemiński wytykał ówczesnym „małym Dżengischanom“ pozytywizmu. Przekonany najgłębiej, że „społeczeństwo nasze straciło dawne wielkie znaczenie, na wielkiem polu polityki nic zdziałać nie może i żyć musi w sferze zaciśniętej pod wszystkimi względami,“ utrzymywał on i powtarzał, że nie mając o czem marzyć, powinniśmy przynajmniej strzedz się rozpaczy, nie pogrążać się w bezmyślność wegetacyjną i uczyć się „zapełniać dni swego życia cichą, drobną— lecz użyteczną pracą.“ Z uznaniem odzywa się o Kaczkowskim, że wśród rozbawionej i łakociami powieściowemi zepsutej publiczności, ośmielił się wprowadzić do romansu ideę pracy wewnętrznej, mozolnej, powolnej, ale krzepiącej siły społeczeństwa“ i że pragnąc „przerwać drzemkę umysłową, w której społeczeństwo było pogrążone,“ podsuwał mu rozmaite zagadnienia i tematy społeczne do rozwagi (I, 345, 436). Z takiemże samem współczuciem i z takąż samą życzliwością mówi również o umysłowości Korzeniowskiego, „nie torującej dróg nowych, nie nurtującej głębin, nie zapowiadającej wniebowstąpień, lecz przechadzającej się rozważnie po urozmaiconych błoniach życia powszedniego,“ — na których nie był „ani zapalonym romantykiem w dobie romantyzmu, ani stanowczym demokratą w dobie przewagi kierunku demokratycznego, ani wstecznikiem w dobie reakcyi, ale wszędzie zachowywał swoją własną, na jasnych przekonaniach i dążnościach opartą, choć

---

ki, obrzydzali się jego domownikom i gościom, którym nas wtedy pokazuje. Pani nigdy nie patrzy na to paskudne zabawy, chociaż nie wie, dlaczego mąż je urządza.

— Czy on ją kocha?

Sternik.

On tego nie umie, ale jej ustępuje.

— To może by nie dokuczał niewolnikom, gdyby go poprosiła.

Sternik.

Nie, niech ten anioł nie domyśla się naszych utrapień. Jeżeli nawet który z nas zginie, to mniejsza szkoda, niż gdyby wszyscy stracili tę opiekunkę. Heron wydał rozkaz, ażeby niewolnicy pili i jedli tylko ze skorup lub stłuczonych naczyń, ażeby jeździli wierzchem tylko na osłach, ażeby nosili odzież tylko po zmarłych, ażeby nie posiadali nic błyszczącego. Niedawno spotyka mnie pani pijącego żur z rozbitego garnka, z którego mi wyciekał. Dlaczego nie weźmiesz miski? — zapytała. Bom leniuch — odrzekłem i nie chce mi się poszukać. Skąd masz te pręgi na plecach? Orzechy — mówię — rwałem w gęstej leszczynie i podrapałem się. Tak trzeba zawsze przed nią wykręcić. Przysięgam, że gdyby który nie wstrzymał przed nią języka, to bym mu go przyciął. Raz tylko wyrwał mi się ból z ust do niej, kiedy jej brat chciał wziąć sobie moją dziewczynę, Egę. Poprosiłem panią o litość — zabroniła mu surowo.

— Więc ty nie uciekniesz do Arjosa?

Sternik.

W każdym razie nie teraz. Skoro pani zdała się na naszą opiekę, zawieziemy ją do rodziców i odwieziemy do męża tak wiernie, jak ta igła magnesowa, która jej nie zdradzi i drogę wskaże.

— A potem?

Sternik.

Nie pytaj, bo jest to ogień, który mi serce przepala i którego zgasić nie mogę. Od kilku tygodni rozdziera mnie chęć ucieczki i żal, a gdy wieczorem legnę na posłaniu, myśl o tem rozcina mi mózg przez całą noc, jak piła.

— Innym radziłeś...

Sternik.

Tak, zbuntowałem wszystkich niewolników w okolicy i naszych, którzy pracują w winnicach i kopalni, podburzyłem nawet lękliwą czeladź Wir-Wira, naznaczyłem im dziś w nocy miejsce zebrania na jednej z gór Datalii, skąd mają wyruszyć i przygotowanemi krypami przepłynąć morze; wam powtarzam: po powrocie pani biegnijcie za gwiazdą, świecącą na niebie Protoryi, ale co ja z sobą zrobię—nie wiem. Gdybym był pewny, że nigdy mojej pani nie będę potrzebny... Zresztą w ten kawałek czasu, który mnie od grobu dzieli, nie zmieści się już wiele szczęścia, chociażbym go nawet gdzieindziej znalazł. Wy młodsi... wam ta gwiazda może jeszcze rzucać długie smugi światła.

— Czy ty wierzysz, że Arjos nas wyzwoli?

Sternik.

I tego nie wiem, moi bracia. Czuję tylko, że od niego biegną ku nam jakieś zapowiedzi lepszej doli, że on jest zwiastunem nowego dla nas życia. Może to bóg w człowieka wcielony, może siłą z nieba przyniesioną rozbije nasze kajdany, zetrze z nas piętna hańby i nada nam prawa ludzkie. Na jawie i we śnie odurza mnie to marzenie. W tej strasznej ciemności, która nas otacza, błyszczy tylko to jedno światełko — do niego dążyć musimy. Chociaż więc ja, jak stary wierny pies, położę się u nóg mojej pani, wy idźcie do Arjosa. Tylko nie teraz, aż wrócicie do domu.

Cicho, jak duch, przesunęła się od głównego masztu ku niewolnikom niedostrzeżona przez nich postać kobieca w białej powłoczystej szacie, po której na plecach i ramionach spłynęły fale bujnych, ciemnych włosów. W obliczu księżyca nie było tyle jasności, w źrenicach gwiazd nie drgało tyle promieni, ile w jej pięknej, bladej twarzy i rozmarzonych oczach. Zdawało się, że z jej delikatnego ciała prześwieca niepokalana i czuła dusza, że na jej ustach składa pocałunki tylko święty smutek, że w łzach, zawieszonych na jej długich rzęsach, kryształi się bezmierna litość, że jej biała ręka samem dotknięciem zagoiłaby śmiertelną ranę. Stąpała po ziemi, jak po cierniach i wznosiła głowę ku niebu, jak gdyby wierzyła, że ono wkrótce dla niej się otworzy.

nie wybitną i niegłośną samodzielność, — a objaw ten, należący do bardzo rzadkich nawet wśród ludzi utalentowanych, zasługuje na szczere uznanie i gorącą pochwałę" (II, 148 — 149).

Głębi wierzeń religijnych dr. Chmielowski nie poruszał wcale. Rzetelnie brzydząc się wstecznictwem, powtarzającem się u nas epidemicznie nietylko za każdym powiewem reakcyi zewnętrznej, wszecheuropejskiej, ale też po każdej katastrofie domowej, po każdem oparzeniu sobie palców w zawierusze lokalnej, pociągającej wraz za sobą bezcelowość w życiu stanów kierujących (I, 144) i egipskie plagi „apatyi, ciszy, miernoty" wśród ogółu (II, 49); nie odpuszczając nawet Kraszewskiemu, ilekroć w napadzie mizantropii pozwalał sobie utyskiwać na zgubność nowoczesnej oświaty europejskiej, do której w jednym rzędzie zaliczał pigułki Leroy, frazeologię, powieści Sanda, wzrost samobójstw, bezwstyd ogłoszeń, — i zarazem koleje żelazne, kasy oszczędności, swobodę prasy, parlamentaryzm angielski itd. (I, 84); obnażając niemiłosiernie, lubo ze szczególną krwią zimną i przedziwną plastyką erudycyi, zapędy ultramontanizmu Rzewuskiego (I, 183 — 190, 201, 236, 243 — 262); ubolewając nad marnotą rezultatów sutej naszej „literatury kopalnej" (I, 161), nad ciasnotą widnokręgów umysłowych i ubóstwem piśmiennictwa, zapartego wyłącznie, według trafnych tym razem słów Rzewuskiego do powieściopisarstwa (I, 279), wreszcie nad krzewiącymi się chwastami przywar i ułomności praojców (II, 101 — 105), Chmielowski skwapliwie zarazem podnosi to wszystko, co wśród ugorów i zabagnienia naszej gleby społecznej zakwita gdzieniegdzie myślą zdrowszą, uczuciem rzetelnem lub szczerą chęcią zachowania lepszych w narodzie pozostałości obyczajowych. Nie wzbrania się uszanować tematu Sztyrmera, że religijność, nie potępiająca rozumu jest hamulcem namiętności, puszczonych samopas, — nic nie ma do nadmienienia przeciwko światłemu konserwatyzmowi Tyszyńskiego, który „przytoczeniami z Pisma S-go i Ojców Kościoła okazywał, iż religia bynajmniej nie żąda wyrzeczenia się uprawy rozumu i nie zasadza cnoty na bierności duchowej" (II, 288 — 292). Owszem, ilekroć na gruncie tradycyjności umiarkowanej spotka pogląd świeższy, śmielszy, zasadnie zwalczający nowatorstwo nierozważne, rad jest z wynalazku, jak gdyby był jego własnym. Wie, że u nas wiele rzeczy dzieje się pod tym względem i dziać się musi inaczej, niż gdzieindziej. Że za granicą — powiada z powodu kilku śmiałych wystąpień Kaczkowskiego — ludzie otwarcie rzną sobie prawdę w oczy, nie może to być nikomu poczytane za zasługę, naturalny to objaw pełni rozwoju sił żywotnych, „ale u nas, gdzie tylu ludzi poważnych, mających stanowiska w społeczeństwie, schodzi do grobu bez świadomości swoich przekonań w kwestyach ogólnych, pisarz głoszący swe zdanie otwarcie i śmiało, zawsze na uznanie zasługuje, bez względu czy się na te zdania godzimy, czy nie" (I, 355 i nast.)...

Sprawiedliwie. Tylko że, na nieszczęście, smutne owo „inaczej" tak często u nas zachodzą, tak się szeroko rozpościerają, że i tu znowuż, jak w *totalizmie* Krzemińskiego, osacza nas zewsząd jakieś wzbałwanione morze zastrzeżeń, ustępstw, sprzeczności, wątpliwości, światełek mglistych, mgieł świetlanych, powników nieodwodnionych, fałszów w trzech piątych nierozproszonych, że wśród tych półświtów i półzamroczy niewiadomo ani dokąd, ani jak płynąć... Zarówno stary jak i nowy testament dziejów zwalił na nasze barki góry całe takich prolegomenów bez rozwinięcia i takich epilogów bez zapoczęcia. Gdziekolwiek się obrócisz, czegokolwiek się dotkniesz, wszędzie czujesz się oplątanym więzami niedomówień, to dobrowolnych, to przymusowych: tu świętość powstrzymuje skamieniała, tam skamieniałość grozi uświęcona, owdzie zasługa zawadza nieuwzględniona, gdzieindziej wzgląd upomina niezasłużony. Semityzm dolega, antysemityzm gniewa, klerykalizm zrzędzi, pozytywizm nuży, redakcya jaskrawszą połowę wykreśla i czytelnik sam w końcu nie wie czego od reszty żądać. W tem położeniu krytyka z konieczności przewraca się z boku na bok, jak na madejowem łożu.

Odbiło się to i na Chmielowskim. Jest on demokratą, w oświacie ludu i w podniesieniu jego moralnego i materyalnego dobrobytu upatruje rękojmię lepszego jutra dla kraju — to nie ulega wątpliwości. Wielbi Sewera i Prusa za to, że odtworzywszy duszę chłopa i stosunki jego zewnętrzne wśród nowych, po uwłaszczeniu, warunków, „obaj równie szczerze i z jednaką miłością na lud patrzyli, obaj posługiwali się środkami realistycznymi — i obaj rozjaśniali obrazy swoje promieniami poezyi" (II, 318)... No, a gdyby tak np. nie rozjaśniali? — gdyby prosto i bez ogródek wykazywali chłopską nędzę, niedolę, ciemnotę, upośledzenie? Nie każdemu wszak dany, jak Sewerowi, talent, lubujący się przeważnie w „jaśniejszych stronach życia..." Coby w takim razie powiedział Chmielowski? — Powiedziałby zapewne, że „stanowiąc kontrast ujemny" względem Sewera, realiści tacy należą do owych kraczących pesymistów, których, jak na potrzeby nasze, jest trochę za dużo" (II, 344).

Najsłuszniej utrzymuje Chmielowski we wstępie do oceny dzieł Rzewuskiego, że krytyk „zamiast bezwzględnego uwielbiania lub bezwzględniejszego jeszcze „potępienia" pewnych przymiotów lub właściwości autora, powinien usilność swą skierować ku temu, aby „dokładnie przypatrzeć się zjawisku, rozpoznać jakiem, ono było w istocie swojej i dlaczego wywarło takie, a nie inne *skutki*" (I, 135). Ale jeżeli skutki były lub są szkodliwe, zabójcze? Jeżeli np. takie „Pamiętniki Soplicy," stek „mimowolnych fałszerstw dziejowych," przewrócą pokoleniom w głowach i zmącą w nich, zatrują nietylko pojęcia o prawdzie w historyi, ale też i o obowiązkach w życiu? Czy wolno i czy należy wtedy wkraczać na drogę rozmyślań i uwag subjektywnych, czy też raczej wypada poprzestać na samem tylko objektywnem „zadowoleniu estetycznem," nie wyciągając z obrazków przeszłości „żadnych nauk moralnych" (I, 179)? — Przedmiot, podmiot! — chybka w naszych okolicznościach przedziela je granica i chcąc się ustrzedz jej pogwałcenia, często skazywać siebie musimy, na stratną, niewdzięczną, bezsławną i bezpromienną rolę owych automatów kurykerkowych, o których Cezary Jellenta, w świeżo wydanym zbiorze swych prac krytycznych p. t. „Wszechpoemat i najnowsze jego dzieje" (Warszawa, 1895, str. 332), tak się wyraża: „Dla niekto-

---

Niewolnicy.

— Tak mówisz o tej naszej pani, że mnie odbiegła ochota ucieczki.

— I mnie.

Sternik.

Jak chcecie. Myślę znowu, że ja sam jej przecież nie wystarczę. A kto zgadnie, co się dziać będzie... Nastają czasy groźne... Zbliża się burza...

— No, to chyba zostaniemy.

— Czy wszyscy?

— Wszyscy.

Orla.

Pójdziecie...

Niewolnicy.

Pani!

Orla.

Słyszałam wasze krwawe żale...

Sternik.

Niech pani z tego się śmieje, to były żarty, bajki, które sobie zwykle opowiadamy.

Orla.

Przebaczcie mi... nic o tych męczarniach waszych nie wiedziałam.

Sternik.

Bo ich wcale nie było. Ach, jakie z nas barany! Boczymy sobie dla zabawki, a pani myśli, że z bólu. Orędowniczko i pocieszycielko nasza, lepsza od wszystkich bogów i ludzi, zapomnij o tych kłamstwach!

Uklękli i wznieśli ku niej błagalnie ręce. Ona objęła ich rzewnem spojrzeniem i położywszy rękę na głowie sternika, rzekła głosem dźwięczącym tak miękko, jak gdyby był brzmieniem strun z promieni gwiazdy, która nad Protoryą świeciła.

Orla.

Wstańcie, biedacy... Nie korzcie się przede mną.. Uklęknicie przed tym człowiekiem, czy bogiem, który was chce wyjarzmić.

Niewolnicy.

My go nie znamy... On może nie ma żadnej siły... Może nas zdradzi.

Orla.

On musi posiadać jakąś moc i musi być duchem dobrym, kiedy tak przyciąga nieszczęśliwych. Idźcie do niego.

Sternik.

Więc niech się stanie wola twoja, pani. Ale ja zostanę przy tobie.

Orla.

I ty udasz się z nimi. Dałeś im zacną radę, więc pomóż ją spełnić. Bądź dla nich ojcem i przewodnikiem. I sam zobacz szczęście, którego nie widziałeś.

Sternik.

Za stary już jestem, ażeby je dogonić.

Orla.

Tem bardziej spiesz się. O twoją Egę bądź spokojny.

Sternik.

I ja mam ciebie, pani święta, opuścić w ostatku dni moich! Własną ręką położyć sobie na słońce chmurę! Umrzeć i nie zobaczyć tej, która była ucieszeniem duszy mojej i oczu moich!

Ryknął płaczem, rozdzierającym jego suche piersi i przyczołgał się do jej stóp. Za nim rzucili się inni niewolnicy, których szlochania zagłuszył plusk fal, odbijających się od ścian statku.

Orla.

Nie płaczcie, dzieci moje, my się jeszcze spotkamy.

Sternik.

Gdzie, pani najdroższa, gdzie?

Orla.

Odwieziecie mnie do rodziców, podążycie do Arjosa, a ja wkrótce...

Sternik.

Co?

Orla.

Za wami... do niego...

Klęcząc, wyprostowali się nagle, spłakane oczy ze zdumieniem i radością utkwili w jej smutnie uśmiechniętą twarz, a po chwili z ust ich wyrwał się bezsłowny krzyk, niby głęboki, przez lat wiele tłumiony oddech, niby pobożny zachwyt i niby rzewne dziękczynienie.

Brzask już przesiąka na wschodzie... Jedźmy.

Spiesznie podjęli kotwicę, ujęli wiosła i uderzając niemi w rytm pieśni wesołej, posuwali statek, który odpłynął w dal, jak śpiewający łabędź.

(D. c. n.).

rych potrzeb bieżących, jak dziennikarstwo, musi istnieć gatunek moralnych celników, którzy każdy przywieziony na targ towar piśmienniczy zważą, obejrzą, tym samym szpikulcem przekłują i robią przytem miny łaskawców ludzkości; niekiedy znów pełnią oni służbę kwarantanianą, czasem są faktorami między autorem i ogółem (a wydawca? gdzie się wydawca podział?...) — i od nich, rozumie się, żądać trzeba jaknajwiększej bezbarwności i bodaj zupełnego braku własnego ja" (str. 14).

Jako do szpiku kości psycholog, Chmielowski, poświęcający zazwyczaj analizie sytuacyj i charakterów całość swych przedziwnie w tym zakresie pięknych i wytrawnych sprawozdań, nie może oczywiście uwolnić się całkowicie od podmiotowości, nie może ograniczyć się do metod wyłącznie objektywnych, które najczęściej zachowuje dla swych wniosków końcowych, podawanych w formie streszczeń zwięzłych, nad wyraz zajmujących (zob. np. konkluzyę o Rzewuskim, I, 280 — 288). Ale co do autorów roztrząsanych, jest niekiedy w prawdziwym kłopocie, co począć i jak się obrócić zarówno z ich podmiotowością, jak i z ich subjektywizmem powieściowym. Czego-bo też ta nasza powieść nie zawiera i z czem się nie popisuje! Przesadza nieco prawdopodobnie Jellenta w przytoczonym swym „Wszechpoemacie," gdy utrzymuje, że „osobliwie u nas rej wodzi niemowlęctwo, które nic nie umiejąc, niczego się nie nauczyło, niczem nie nasiąkło — i ciemne jak tabaka w rogu, ślepe jak pisklę świeżo z jajka wyklute wobec pulsu epoki i tysiąca palących zagadnień lub dyablo ciekawych faktów — śmie płodzić powieści, powieści i powieści — z pustego chcąc lać i lejąc też w rzeczy samej" (str. 12); w każdym razie to pewna, że w laniu tem, tu i owdzie, znajdzie się niekiedy wiorek lub odrobinka jakaś — to naukowości, to morału, to patryotyzmu, konserwatyzmu... Jak się z tem obejść, co sobie poradzić? — Gdzieindziej, są na to książki, rozprawy i czasopisma *specyalne*. Lecz u nas!... Zasadniczo, w większych wypadkach, Chmielowski nie zgadza się na taką przybłędność podmiotową, jakkolwiek we wstępie do „Naszych powieściopisarzy," zaraz na pierwszej stronicy czytamy określenie natury mięszanej, eklektycznej, „o *moralnej* i estetycznej wartości ideałów w powieści" i o „wzorach, jakie ona do *naśladowania* poleca..." Na pytania przecież: „publicysta czy artysta?" (I, 354 — 355) i co się stać może, ilekroć publicysta w romansie zwycięży artystę (I, 433), oświadcza się nasz krytyk dość kategorycznie za przedmiotowością artystyczną. Przyklaskuje Junoszy, że „nie jest ani antysemitą, ani nie idealizuje żydów" (II, 436 — 437); to samo powiada i o Sewerze, że „ani bieli, ani czerni żydów" (II, 327); zaleca bezinteresowność Jeża, który w powieściach z dziejów słowiańszczyzny południowej nie igra „z miłością ojczyzny" i pogardza łatwym sposobem zainteresowania czytelnika (I, 545); chwieje się cokolwiek, gdy mówi z powodu Prusa: „nie myślę bynajmniej, iżby należało wykluczyć z romansu rozprawy filozoficzne," dodając zaraz, że powinny one być „dopasowane do wymagań artyzmu" (II, 414). Dopuszcza atoli i wyjątki. Wypisujemy z nich niektóre, gdyż malują one dokładnie położenie u nas sumiennego recenzenta, który hołdując ideałowi wewnętrznego swego powołania (w danym razie psychologiczno-estetycznemu), liczyć się jednocześnie musi (jako socyolog) z potrzebami swych współziomków i współobywateli, z ich wykształceniem i moralnością, z ich pożytkiem i upodobaniem, a nieraz to i z sądami ich dziatwy lub przesądami ich matron.

Najpierw są w powieściopisarstwie działy, w których subjektywizm warunkuje się do pewnego stopnia samą istotą rzeczy. Tak np. „humorysta nie jest twórcą przedmiotowym, lecz mocno uczuciowym" (II, 366). Bywają dalej czasy takie, kiedy pewne kierunki literackie (romantyczny np.) „wolą świat stwarzać, niżli go poznawać" (I, 561). Istnieją wreszcie położenia ogólne, w których ludzie należycie pojmują potrzebę chodzenia po ziemi, a jednak bujać w powietrzu chcą lub muszą (I, 444). We wszystkich podobnych wypadkach podmiotowość niechybnie ruguje objektywność i bierze nad nią górę, jakkolwiek i w takich razach pisarz o silnej woli (Jeż) może bez szkody dla siebie pozostawać wiernym „myśli trzeźwej, pozytywnej," — tej myśli, która znając i ceniąc marzenia, poddawać się im bezwarunkowo nie chce (I, 553). Zdarzają się też i apostolstwa, ciche, dla których autor rozmyślnie przybiera rozgłośniejszą szatę opowiadania, jak ten Czerneda np. (Mieczysław Bierzyński), który pilnując się trybów ściśle estetycznych (przedmiotowych), starał się zadość uczynić idealnym popędom swej duszy i „wzniecić dla warstw niższych szczerą sympatyę, pobudzić do zajęcia się polepszeniem ich doli" (II, 453). Najpospolíciej wszakże subjektywizm szuka dla siebie pokarmu i znajduje go obficie tam wszędzie, gdzie artysta tak dalece wyrasta po nad tłum bierny, rozproszony i podupadły, że w części świadomie, w części zaś pod parciem konieczności, wdziera się na stanowisko kapłana, kaznodziei, proroka i jak Kraszewski w pierwszej fazie swojego zawodu powieściopisarskiego, rozpoczyna walkę z najbliższem swem otoczeniem, — i bezdusznem i plugawem, — do którego przylgnąć nie może (I, 87). Zwycięża, ma się rozumieć, — nie zawsze gromowładca; wówczas z końca w koniec ziemi rozpościera się objektywizm, — ale już najgorszego, ostatniego gatunku: owa opisowość drobiazgowa, oczyma i duszą zapatrzona w żółte buty, czerwone rękawy i zielone rogatywki, owo rozmiłowanie się w barwach, zapachach i kwiatach rosnących na grobach, w których Kaczkowski upatrywał bezduszny i bezczelny sceptycyzm, prowadzący do tych samych — według niego następstw, co i „nagi, niczem nie upiększony realizm" (I, 340)...

Niech-że tu teraz z łaski swojej wystąpią z jednorodnemi i podniebnemi swemi kryteryami pp. Krzemiński i Jellenta! Niech wzywają do kultu ideałów wszechludzkich i prometeuszowskich! Niech nam pierwszy dowodzi, że „cała ludzkość jest tylko myślą ogromną, wcieloną w naturę" (str. 85), a drugi niech nas pociesza nadzieją, że i my zaznamy kiedyś syntetycznej tej słodyczy, według której „krytykować — to jedno co tworzyć" (str. 16).

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

(Dokończenie).

Przechodząc do żywiołów „inteletktualnych" i do średniego mieszczaństwa, zobaczymy to samo zjawisko sprzeczności. Pod wpływem przekonania, że „ustępstwami" można zrobić wszystko i przykuć do siebie masy, radykalizm drobnomieszczański ciągnie wielkie mieszczaństwo przed kratki sądu narodowego, oskarżając je o sknerstwo i t. d. Masy ludowe mają zawsze w ręku kamień potępienia, pomimo że nawet z rozumnego ustępstwa skorzystać nie umieją i nie chcą. Widzieliśmy to przy wyborach do rady hrabstwa w Londynie, gdzie lud samowładczy zamienił reformatorów na zacofańców. Wreszcie wielkie mieszczaństwo liberalne oświadcza, że nie może wyciągnąć drugiej ręki, póki mu pierwszej nie przyjmą. Rozumowanie to jest słuszne, co nie szkodzi wcale temu, aby nowe oskarżenie o sknerstwo nie zostało podpisane. Co będzie dalej? Oto pewnego dnia zwolennicy ustępstw oświadczą: źle nam z ustępstwami, a powiadają, że źle i bez nich; spróbujemy to drugie. A z chwilą, gdy stronnictwo liberalne rozpadnie się na grupy — będziemy mieli długi okres rządów torysowskich i zupełny, jakkolwiek chwilowy, zastój ruchu reformatorskiego.

Czy peryod ten nastąpi teraz — podczas wyborów? Nie mając wcale uroszczeń proroczych, wątpimy wszakże, czy większość torysowska dojdzie do skutku. A jeśli dojdzie, to będzie ona tak nieznaczną, iż nowe wybory rozpisane zostaną po krótkim względnie okresie prawodawczym. Największą zaś rękojmią dla dalszego rozwoju jest niezmiernie dzielny nastrój mieszczaństwa liberalnego. Gdy na jednem z zebrań zrozpaczony liberalista doradzał próby bez ustępstw, otrzymał odpowiedź, której towarzyszył grzmot oklasków: reformy są *naszym* obowiązkiem! Otóż widzimy, że tradycyjna polityka ustępstw w mieszczaństwie angielskiem przybrała formę „kategorycznego nakazu" Kanta. Trudno zaisto o większą rękojmię dla ruchu postępowego — szczególnie w czasach, gdy tak zwane niezależne stronnictwo prasy zawarło sojusz z torysami. By dalej próbować przewidywań, powiemy, że ze stronnictwa robotniczego przejdzie szereg przedstawicieli związków zawodowych, którzy idą ręka w rękę z partyą liberalną; z dzikich zaś („niezależnych") zostaną wybrani *tylko* ci, którzy będą mieli poparcie wyborców liberalnych, a w ich liczbie może być pan Keir Hardy.

Aby zupełnie zdać sprawę z apatyi, a tem samem z reakcyjnego nastroju mas, musimy jeszcze poruszyć stosunek zasady pomocy państwowej do indywidualizmu. Nie ulega wątpliwości, że tylko państwo może dziś goić rany, zadane organizmowi społecznemu przez kolce rozwoju przemysłowego. Ale w Angii, gdzie jednostka miała możność rozwoju swych sił i gdzie rzeczywiście dokonała cudów, wytworzyła się piękna w zasadzie wiara w siły indywidualne, z której powodu ciągłe podkreślenia roli państwowej wydaje się narodowi podejrzanem. Tę podejrzliwość względem wmieszania państwa, podzielają wszystkie niemal warstwy społeczne, z wyjątkiem, być może, robotnika niefachowego. W polityce zagranicznej naprzykład Anglia jest raczej przedsiębiorcą, który w koalicye i sojusze wchodzi oględnie, zachowując sobie „swobodną rękę"; w domu u siebie — w zarządzie krajowym nie zna wcale biurokracyi. Tak zwane urzędnictwo angielskie istnieje tylko w Azyi i Afryce; ale i ono przypomina raczej personel wypraw awanturniczych, który od kraju swego żąda amunicyi, a nie zabezpieczenia. Zdobycie Afryki — założenie Rhodesii — wszak było dziełem kompanii, a nie państwa. Jednostka w Anglii wytworzyła kooperacyę, o jakiej inne kraje pojęcia nie mają, — związki zawodowe o niezrównanej sile, — filantropię prywatną, która obraca miliardami i zarazem tak jest zorganizowaną, iż żadna policya nie ma takich danych o ludności zaułków, jakie ma „centralny komitet dobroczynności" w Londynie. Pastor Jay (Oksford) może opowiedzieć życie i losy tysięcy rodzin, które otrzymały zapomogę od komitetu miejscowego. Stowarzyszenie opieki nad dziećmi ma tysiące członków-agentów; stowarzyszenie czuwania nad moralnością, może obalać ministrów (sprawa Dilke-Crawford), zmieniać posłów i być

postrachem. Takiem jest życie kraju i oto teraz stronnictwo reformy wskazuje państwo, jako jedyną siłę żywotną. Nie dziw, że jednostka czuje się zaniepokojoną; przedewszystkiem jej poczucie godności, świadomość swej własnej siły — są dotknięte i obrażone. Gdzie zaś subjektywizm się objawia, tam nie ma miejsca dla spokojnego i rzeczowego rozumowania. Ostatnie wybory do rady hrabstwa w Londynie, protesty przeciw najbardziej rozumnym i umiarkowanym zamiarom „reformy wyborczej,“ są tylko następstwem tego, że się tak wyrażę, psycho-politycznego zatargu między rozwiniętą, bogatą w siły i w historyę jednostkę, a zasadą państwowości. Trzeba przytem przyznać, że stronnictwo reformy, nie uwzględniając historycznego rozwoju kraju, samo wywołuje nieporozumienia. Jak daleko i głęboko zatarg ten tkwi, widzimy z faktu, że tak zwane „osady uniwersyteckie,“ z obawy przed jednostronnością nowatorów, unikają wszelkiej z nimi wspólnoty, pomimo pokrowieństwa zasad i celów.

Ostatnimi czasy olbrzymie dzieło, świadczące zarówno o sile poświęcenia „osad uniwersyteckich“ jak i o rozmiarach tego, co w Anglii jednostka może dokonać, posunęło się tak daleco, że brak mu już tylko kilku cegiełek ostatnich. Ukazały się nowe dwa tomy — VI i VII — pomnikowego dzieła Karola Booth'a p. t. „Praca i życie ludu.“ Wraz z tomem VIII zakończoną będzie społeczno-ekonomiczna anatomia Londynu. Pierwsze cztery tomy można nazwać dysekcyą stolicy według dzielnic; autor dał w nich opis ludu londyńskiego, przechodząc z południa na północ i ze wschodu na zachód. Tom V jest atlasem grodu pięciomilionowego. Tom VI rozpoczyna, że się tak wyrażę, fizyologię miasta; opis dokonany tu jest według czynności, gałęzi pracy i t. d. Do tej wzmianki bibliograficznej chcemy dodać kilka słów o metodzie pracy Booth'a. Weźmy oto tom I, który poświęcony jest „wschodniej“ części miasta. Autor dla wydania tego dzieła przebiegł 3,400 ulic; na wszystkich zbadał każdy dom, każdego mieszkańca. Oto przykład:

ulica X. nr. 1 wyrobnik — zajmuje 1 pokój — 2 dzieci szkolnych — *B* — 2 *) (obecnie ma pełne roboty);

ulica X. nr. 1 wdowa — zajmuje 1 pokój — 1 dziecko i niemowlę — *B* — 33 (przy niej mieszka i siostra);

ulica X. nr. 1 zajęcie X — jeden pokój — bezdzietni ? ?

Po nr. 1 idzie nr. 2 i t. d. Czasami spotykamy uwagę, która zawiera całą historyę rodziny, lub notatki: „biedny, ale niezaradny“; „brak poczucia obowiązku“; „osoba podejrzana“ itd.

Jakeśmy powiedzieli, 3,400 ulic, zbadanych w ten sposób, tworzą materyał zamknięty w 46 olbrzymich książkach, a na podstawie tych notat stworzono pomnikowe dzieło o Londynie. Pierwsze więc 4 tomy są opracowaniem zawartego w 46 księgach surowego materyału. Jasnem jest, iż jeden człowiek nie mógł podołać takiemu zadaniu. Booth miał pomocników, z których część stanowiła bateljon, że się tak wyrażę, generalizatorów, pracujących pod jego kontrolą. W liczbie tych pracowników spotykamy Llewellyn-Smitha, dzisiejszego redaktora „Gazety pracy“ i wydawcy dokumentów z ministerstwa pracy, — Beatrice Potter (dziś pani Webb), jedną z poważniejszych pracownic angielskich na polu ekonomii, — Klarę Collet, późniejszą inspektorkę fabryczną, dziś mającą urząd w ministeryum pracy i handlu, — Dawida Schlossa i innych. W drugiej linii pomagał Booth'owi legion cały skromnych i uczciwych „ludowców,“ nauczyciele, lekarze, przemysłowcy i zdolniejsi studenci, których nazwiska nikt nie wymienia nawet.

Dzieło Booth'a nie ma równej sobie pracy w całej literaturze europejskiej. Dziś naśladować go jest już rzeczą łatwą, ale za to trudną znaleźć skromnych i sumiennych pracowników. W Warszawie, liczącej tylko przeszło pół miliona mieszkańców, nie znajdziemy chyba ani dziesięciu ludzi, którzyby umieli zgodnie podjąć się takiej pracy. Z nich połowa porzuci badania, „poniżające“ swą drobiazgowością i „brakiem idei,“ reszta zaś zacznie „haftować,“ podstawiać cyfry, zmieniać zajęcia, bo w kraju, gdzie poczucie godności mało rozwinięte, fabrykacya cyfr nie jest uważana za rzecz złą. Wreszcie wszyscy się pokłócą nad „programem“; każdy zatem napisze na własną rękę wielkie dzieło bez cyfr, ale nie będzie ani jednego wydawcy.

Redakcya *Wisły*, która ma już znaczną liczbę współpracowników, może potrafi podjąć się z czasem opisu „pracy i życia ludu“ w kraju.

W. Nadolski.

*) *B* — znaczy II klasa podziału ludności według dobrobytu; cyfra 2 znaczy drugi podział klasy.

Z GALICYI.

Tym razem postanowiłem odstąpić nieco od zasadniczego tematu moich pogadanek i wkroczyć w dziedzinę życia społecznego mało znaną, a jednak godną poznania i głęboko smutną.

Pragnę kilka słów powiedzieć o losie dzieci z nieprawego łoża na głuchej wsi galicyjskiej, która nietylko nie korzysta z łaskawie udzielonej nam konstytucyi, lecz nie wie nawet o jej istnieniu. A jednak sprawa dzieci z nieprawego łoża nie jest bynajmniej jakąś miejscową — krakowską, lwowską lub inną, lecz kwestyą całej ludzkości. Krzywda tkwi w prawodawstwie, które na hańbę wystawia matkę, zakrywając ojców zamkniętemi drzwiami sądu, — usunąć się przeto nie da ani łatwo, ani prędko.

Prawodawstwo tutejsze na wielu bardzo punktach nie odpowiada wymaganiom życia społeczeństwa nowożytnego, stąd też ustawicznie znajdować się musi w rozterce ze sobą. Prawo greckie wyprzedzało życie swego społeczeństwa, rzymskie z życia tego powstawało, a nasze jest zlepkiem praw, zasad, środków przeżytych dawno. Życie przeto kroczy inną drogą, a prawodawstwo inną, jak dwie linie, wychodzące wprawdzie z jednego punktu lecz rozbiegające się w dwie przeciwne strony. W takim stanie jak jest ktoby wyjął jedną cegiełkę, zburzyłby cały gmach. Krótko mówiąc — zasadzie sprawiedliwości brak etycznego punktu oparcia.

Nie ulega wątpliwości, że z tego stanowiska rola prawodawstwa względem dzieci z nieprawego łoża nie jest godną zazdrości. Ponieważ jednak podstawa prawna nie da się zmienić, pozostawmy ją przeto w spokoju; niech nad tem radzą inni.

Społeczeństwa nowożytne dawno odczuły rozdźwięk, istniejący między prawom a sprawiedliwością i szukają rady na niedomagania po za granicami prawa. W ten sposób powstały żłobki, schroniska, przytułki, zakłady wychowawcze dla podrzutków itd. — lecz dotychczas istniejące w mieście tylko, gdzie i serce ludzkie jest wrażliwsze, i środki materyalne większe i wreszcie potrzeba samoobrony do tego je zmusza. Jednem słowem ofiarami krzywdy ludzkiej lub krewkości opiekuje się, w pewnej cząstce przynajmniej, samo społeczeństwo.

Na wsi nic się nie robi w tym względzie. Dzieci z nieprawego łoża pozostają na łasce losu.

Ludność wiejska jest wogóle moralniejszą od miejskiej — tego nawet dowodzić nie potrzeba; ci którzy o niemoralności ludu mówią, powtarzają ogólniki bez znaczenia i dowodzą tylko, jak mało zdają sobie sprawę z tego, czem jest właściwie moralność i na czem ona polega. Nie myślę na tym punkcie polemizować z nikim. Wiemy jednak, że w mieście znajdzie się zawsze jakaś Skublińska, która urządzi sobie proceder do życia z fabrykacyi aniołków; na wsi to niemożebne, chociażby z tego względu, że nigdy takich dzieci dużo nie ma, więc Skublińska, spekulująca na pokarmie dzieci, nie miałaby z tego żadnej korzyści. Wytwarza się natomiast proceder inny — zarobkowania i wyzyskiwania dzieci pod formą litości, proceder, mający wszelkie pozory legalne, lecz obydny i podły w rzeczywistości.

Dla matki dziecka z nieprawego łoża na wsi, zarobkowanie ręczne bywa zwykle jedynym środkiem do życia; dziecko więc dla niej jest ciężarem, którego ona radaby się pozbyć różnymi sposobami. Często potrzebuje nawet pokryć lub zamaskować swój błąd czy może tylko krok niezręczny, ażeby wyjść za mąż, gdyż ojciec dziecka tak długo o ożenieniu się mówił, dopóki w tem cel miał jaki-taki; jeżeli zaś należał do klasy ucywilizowanej lub tak zwanej „inteligencyi“ (o, biedna inteligencyo!), to „brał na kawał“ dziewczynę w inny sposób. Tak czy inaczej, dziecko jest ciężarem i hańbą matki, która wyrzeka się go w zupełności lub częściowo. Otóż w tym punkcie właśnie jest środek ciężkości całej kwestyi.

Każda wieś prawie, a szczególnie pod miastem, posiada swoją tak zwaną „litościwą osobę,“ która z wyzyskiwaniem biednych matek, a biedniejszych jeszcze dzieci, przystosowuje się do miejscowych warunków. Bywa nią „gospodyni,“ właścicielka małej posiadłości ziemskiej, nieraz osoba majętniejsza śród swego otoczenia: ma ona własne gospodarstwo, potrzebuje przeto robotników dużo i, rozumie się, tanich. Mówi zwykle o swojej litości, uczciwości, dobrodziejstwach, a jest babą z piekła rodem, od której pies podgiąwszy ogon, ucieka. Litościwe jej serce słychać od rana do późnej nocy na całej wsi — są to krzyki i wymyślania na wszystkich obecnych i nieobecnych, napełniające powietrze najobelżywszymi wyrazami.

Otóż taka tedy „litościwa osoba“ bierze ile może nieprawych dzieci, sierot bez rodziców lub zaniedbanych przez nie i wychowuje na robotników swoich. Trzeba wiedzieć, że uczciwość i słowność na wsi jest tak wielką, iż zobowiązań żadna strona nie cofa przy lada sposobności, a tembardziej matka, zapierająca się dziecka lub nominalny opiekun, nie mający czem żywić sieroty.

W takich tedy warunkach rośnie biedactwo, poniewierane, bite, głodzone do 4 lub 5 o roku życia. Od tej chwili rozpoczyna się *praca* — pasanie krów, cieląt, owiec, wszystkiego, co „litościwa osoba“ posiada na gospodarstwie. U takiej dobrodziejki dziecko nie ma żadnej opieki, ani moralnej, ani fizycznej; chodzi nieumyte miesiącami całymi, na nożętach rzepę siać można — we włosach cały świat zwierzęcy; zimą i latem jedyne ubranie — strzępki brudne lub połatana koszula. W słotę i pogodę — zawsze boso. Stąd naturalnie zaziębienia, wieczne katary, zapalenie płuc — i śmierć. W tym wypadku występuje Bóg; — On dał śmierć, On tak chciał i kwita!

Mam zaszczyt znać jedną taką Skublińską, uważającą siebie za litościwą dobrodziejkę opuszczonych dzieci. Na wiosnę umarła u niej na zapalenie płuc dziewczynka dwunastoletnia, w maju zachorowała także na zapalenie płuc starsza nieco dziewczyna, będąca u niej na wychowaniu, a dotychczas łazi jeszcze biedne i zabukane chłopczysko z nieprawego łoża, dzieciak

trzyletni, błądzący samopas, jak bity szczeniak, zasępiony.

Na czemże to wychowanie polega?

Na przysposobieniu sobie robotnika, a następnie na wyzyskiwaniu jego siły. Oto rdzeń rzeczy, że tak powiem. Sam sposób wychowywania i wysysania oburzająco wstrętny, nieludzki, chociaż wobec innych pokrywany zawsze słowami współczucia i litości. Dziewczynka, która na wiosnę dostała zapalenia płuc — jedna, jak powiedziałem, umarła, — znajdowała się w chwili wyrostu, kształtowania się, była więc fizycznie najsłabszą, lecz to nie przeszkadzało litościwej Skublińskiej, obciążać codziennie dziecko mlekiem i o 3-iej godzinie po północy, bez względu na pogodę i słotę, zimę czy lato, posyłać do miasta o kilka kilometrów. Z miasta musiało także dźwigać wiktuały. Trzeba dodać, że podróż tę odbywało w jednej spodnicy i letnim kaftaniku. Wracając, niewiele miało odpoczynku, bo w kwadrans potem już dźwigało wodę wiadrami pod górę, sadziło w polu lub inną jaką ciężką robotą zajęte było.

Nic przeto dziwnego, że takie wątłe stworzenie, wyzyskiwane bez obrony prawa, bez kontroli publicznej, przedwcześnie targa siły i umiera. Ta sama litościwa osoba, męczy jeszcze przy sobie, jak wspomniałem, trzyletniego chłopczyka. Ponieważ nie karmi go dostatecznie, więc błądzi głodny i prosi u innych chleba, wtedy opiekunka bije go za to, że się do obcych zwraca. Alboż to on w domu nie ma? Biedne dziecko ucieka od niej, a pierwsze wyrazy, których się nauczyło wymawiać, były — nie ojciec i matka — lecz „napcia" (tak nazywało swoją dobrodziejkę) bić będzie." Dam jeden przykład tylko tej opieki. Bije ona dziecko dla nauczenia go czystości. Przypuśćmy, że to środek pedagogiczny dobry. Ale w jakich warunkach bije? Dziecko włóczy się do północy bez dozoru, bo wyzyskiwanie jego sił jeszcze się nie zaczęło, nic dziwnego więc, że śpi dłużej. Opiekunka wychodzi wcześnie z domu i chatę zamyka. Dziecko się budzi, chce wyjść — nie może, z konieczności przeto przekracza nieznane mu prawa czystości i ochędostwa, za co naturalnie bywa karane.

W miastach istnieją różne przytułki dla nędzy i sieroctwa, na wsi dzieci takie skazane są na zmarnowanie się przedwczesną pracą dla innych lub śmierć. Czyby w tę stronę nie warto skierować opieki i miłosierdzia?

Na zakończenie mego listu muszę na chwilę wrócić do polityki i do Koła polskiego, z powodu awantury, która z łona jego wyszła. Panuje u nas przekonanie, że o złem mówić nie trzeba i jako argument na poparcie tego ma się zwykle w zanadrzu przysłowie. Prawda, że odsłonięcie słabych stron jednego stronnictwa daje często miecz w ręce drugiego, stąd jednak bynajmniej nie wypływa, że „są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu," bo gdyby się nikt nie zdobył na prawdę bezwzględną, wypowiedzianą śmiało i bez ogródek, nigdy nie mielibyśmy sposobu poprawienia złego. Obawa odkrycia ran przypomina pozłacane ubóstwo i nędzę moralną. Jeżeli tak fałszywa skromność jest zawsze wstrętną, to w rzeczach publicznych staje się często zbrodnicżą. Do milczenia nawołują zwykle najwinniejsi, ale ci, którzy z ubocza patrzą, nie mogą powstrzymać krzyku oburzenia.

W takim stosunku ja, jako korespondent, jestem do Koła polskiego w Wiedniu. Wiem dobrze, jaką jest jego donioslość, jakie znaczenie łączności w odłamach stronnictw politycznych, szczególnie gdy, jak w Austryi, działalność tych odłamów nigdy prawie wspólną drogą nie idzie; lecz z tego bynajmniej jeszcze nie wynika, ażeby wyższą polityką można było usprawiedliwiać niezdrowe i niemoralne zachowanie się członków Koła. Na szczęście takich członków bywa nie wielu zawsze, lecz szkoda, wyrządzona przez nich powadze reprezentacyi jest tak wielką, że o zaradzeniu złemu pomyśleć warto.

Niejeden z czytelników *Prawdy* pamięta zapewne smutną sprawę Kamińskiego i Wolskiego. Chodziło o wyjednanie koncesyi na budowę drogi żelaznej i połączonego z nią „kurtażu" — mówiąc grzecznie. Obaj posłowie byli adwokatami zdolnymi, światłymi i cieszącymi się bardzo dobrą opinią; w sprawie przeto kurtażu mieli sąd bardzo wyrozumiały. Krótko mówiąc nic upatrywali w tem nic złego. Miły Boże! Cóż na świecie będzie cnotą, jeżeli branie łapówek nazywają zbrodnią. A jednak opinia publiczna mocno potępiła obu panów, wytoczono sprawę przed forum szersze i — jakkolwiek utrzymują niektórzy, że Wolski był Bogu ducha winien i tylko stanął w obronie Kamińskiego — obu zmuszono do wycofania się z życia publicznego. I dobrze zrobiono, bo ludzie, którzy wysuwają się na czoło, powinni mieć czyste sumienie i ręce.

Teraz takich posłów do Rady państwa, którzy własne interesy obrabiają bardzo pilnie, a ilekroć potrzeba wystąpić w sprawie wyborców — milczą wytrwale, — także nie brak, lecz dzięki panującej zasadzie pokrywania złego, wszystko tonie w „falach zapomnienia." Tonie, to prawda, lecz skutkiem tego następuje pewien rozkład czyli gnicie, a gdzie bywa takie zjawisko, tam atmosfera mocno się zanieczyszcza rozmaitemi zarazkami.

Cho.

PIĄTY
MIĘDZYNARODOWY ZJAZD KRYMINOLOGÓW
W PARYŻU.

Kongres ten, piąty z rzędu (pierwszy, londyński, 1872 r.) świetnością zaćmił wszystkie poprzednie. Zjechało się około 780 członków ze wszystkich krańców świata: Anglii i Japonii, Norwegii i Grecyi, Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i Nikaraguy, Chili, Argentyny i Brazylii — w tej liczbie wiele dam, które, według niezbyt zręcznego komplementu jednego z członków kongresu, przypominały „wieniec żywych kwiatów." Dodać zaraz trzeba, że świat uczonych nieskończenie szczuplej był reprezentowany, niż dygnitarzy sądu i administracyi. Tak np. cała włoska szkoła kryminologii, prócz Garofala i Sergi'ego i dwóch—trzech innych, pozostało w domu, między nimi i Lombroso; a przecież Włochy przysłały aż 32 członków. Ponieważ uważano sobie za punkt honoru sprawić przyjęcie, jak przystało na „dzielnych ludzi" (słowa inspektora generalnego przy min. spraw wewn., Puibarand'a), urządzano więc bankiety wszędzie: u prezydenta Rzeczpospolitej, ministra spraw wewnętrznych, w Radzie municypalnej Paryża, ratuszu, na wieży Eiffel, Sekwanie, w Palmarium Jardin d'acclimatation, na wycieczkach do Nelun, Fontainebleau, Sèvres, St. Cloud, Nanterre, Montosson, Guillon itd.

Cztery sekcye kongresu miały nazwy: I) prawodawstwa karnego, II) kwestyj penitencyarnych, III) środków zaradczych, IV) spraw dotyczących nieletnich. O ile widać z samych nazw, jak również programu i treści rozpraw, prowadzonych w sekcyach i na zebraniach sekcyi połączonych, nie zajmowano się wcale sprawami kryminologii ogólnej: zbrodnictwa, odpowiedzialności itp. Ale w „sekcyi piątej," na bankietach, kiedy butelki i serca otwierały się z uprzejmością i zapałem, można było słyszeć, że gwiazdą przewodnią wszystkich prac jest „sprawiedliwość litościwa," współczucie dla przestępców, których trzeba leczyć a nie karać, pielęgnować a nie opuszczać, podnosić z upadku a nie niszczyć; przezorność, która występkom zapobiega; dobroć, która wierzy w poprawę człowieka i nigdy nie opuszcza rąk. Niepodobna też nie odczuć tego tchnienia ludzkości i prawdziwej nauki w wielu wnioskach i ich roztrząsaniu, zwłaszcza na posiedzeniach sekcyi V-ej, zajętej małoletnimi. Ale bywały rozstrzygania kwestyi, a nawet całe potoki rozpraw, które stoją w zdumiewającej sprzeczności z tem wszystkiem. Takiem np. jest posiedzenie d. 2 lipca sekcyi II-ej, które wywołało niemal oburzenie w większej części prasy paryskiej. Warto się temu przysłuchać. Kwestya była następująca: Czy więźniowie mają prawo do zapłaty za swą pracę (w więzieniu)?

Czy też wytwór ich pracy powinien być użyty przedewszystkiem dla pokrycia kosztów utrzymania skazańców tej samej (co pracujący) kategoryi, po potrąceniu części wytworu, która ma być zatwierdzona dla każdego z nich, i części, która ma być rozdawana, w postaci wynagrodzeń, gratyfikacyi, najbardziej godnym?

Po odczytaniu streszczenia referatów przedstawionych, rozpoczyna się dyskusya. Naprożno dyrektor więzienia brukselskiego, Stevens, usiłuje walczyć z mniemaniem powszechnem i dowodzi, że chociaż więzień winien część pracy państwu, ono ze swej strony *winno* jest mu dać zapłatę i że w ten sposób stwarza dla niego bodziec do pracy: chęć oszczędzania. Guibaraud, ten sam, którego Jagemann żartem nazwał „prezesem sekcyi piątej," nie chce nic widzieć prócz tego, że skazani są dla państwa przyczyną wydatków stałych i znacznych i że przeto całą swą pracę powinni oddać więzieniu. Naprożno prezes rady państwowej szwajcarskiej, Dunant, zwraca uwagę na umoralniający wpływ płacy, a Cremieux, adwokat z Paryża, wskazuje przykład kodeksu francuskiego (art. 41). Prof. Brusa z Turynu, zamykając jedno oko, woła, że praca więzienna ma wprawdzie na celu poprawę przestępcy, ale stąd nie wynika prawo do płacy. Bonilard, szef jednego z biur ministeryum spraw wewnętrznych we Francyi, popiera go swem przekonaniem, że przestępca, po uwolnieniu, roztrwania zawsze zarobione w więzieniu pieniądze. A dyrektor więzienia w Passy, Laguesse, zaznacza, że zarobek dzienny więźniów dochodzi do 5 fr. i że to już zbyt „pyszne więzienie." Dyskusya jeszcze się przeciąga, ale wszyscy przewidują wynik głosowania; przekorni wycofują się, wskutek czego *jednomyślnie* uchwalono wniosek: 1) więzień nie ma prawa do płacy; 2) w interesie państwa leży, aby dawać gratyfikacyę więźniowi.

Na zebraniu ogólnem sekcyi, przeciw wnioskowi powstają jeszcze niektórzy, między innymi pani Pognon, stojąca na czele feministek francuskich; lecz przechodzi on większością głosów. Znany autor dzieła „La france criminelle," Joly, zapewniał sprawozdawcę dziennika *L'Eclair*, że wielu członków po posiedzeniu wyrażało mu żal, iż głosowało za wnioskiem. Gdyby to po bankiecie! Ale przed południem, dopiero zaś wieczorem odbył się bal w pałacu Elizejskim.

W czterech swoich sekcyach zjazd rozpatrzył 30 kwestyi. Jest też niepodobieństwem w krótkiem sprawozdaniu nawet przelotnie dotknąć wszystkich. Zaznaczę przeto tylko wnioski niektóre, najciekawsze, stanowiące rys charakterystyczny V kongresu, zwłaszcza te, które dotyczą małoletnich.

W sekcyi I, sprawa zsyłania zabrała stosunkowo dużo czasu, bo parę dni, zgromiła spór pierwszorzędnych powag naukowych i mówców takich, jak np. Spasowicz i Leveillé ze „Szkoły kolonialnej." Postanowiono, że użytecznem jest zsyłanie tylko

jako kara za przestępstwa ciężkie i środek przeciwko zatwardziałym recydywistom.'

Ta sama sekcya zatwierdziła wniosek, aby ukaranie przestępcy pociągało za sobą odszkodowanie ofiary z tego, co skazanie posiada, lub z tego, co zarobi w więzieniu, albo z innego źródła, nad czem ma obradować następny, kongres międzynarodowy.

W kwestyach włóczęgów i żebraków, rozprawy doprowadziły do przyjęcia uchwały, iż jedynym środkiem, który zaradza złemu, bo działa na najbliższą przyczynę tych zjawisk, jest wyszukanie pracy, dobrowolne lub przymusowe, do czego niezbędnem jest stworzenie kolonij i odpowiednich domów pracy.

W sekcyi II, rozprawy dość żywo nad kwestyą tak doniosłą, jak warunki więzienne kobiet, nie mogły doprowadzić do żadnych wniosków określonych i zatrzymały się na mglistem oświadczeniu, że przepisy więzienne powinny być różne dla kobiet i mężczyzn pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym.

W sprawie ćwiczeń które mają oddziaływać dodatnio na przestępcę, sekcya stanowczo oświadczyła się za pracą fizyczną celową i użyteczną, a przeciw gimnastyce.

Ciekawym i głęboko sięgającym jest projekt sekcyi III, aby przy więzieniach istniały szkoły, biblioteki i — rzecz dowcipna — aby było wydawane pismo tygodniowe dla więźniów z wiadomościami społecznemi i politycznemi, w celu nieodrywania ich od świata, a naodwrót, zaznajamiania z wypadkami, obchodzącymi wszystkich, i w ten sposób rozwijania w nich instynktu społecznego.

Wnioski sekcyi IV, pozwolę sobie w rysach najogólniejszych, ale w całości, zaznaczyć.

Przedewszystkiem wiek, do którego sędzia może uwolnić od kary przestępcę nieletniego, dla przyczyn z niedojrzałości wynikających, czyli tak zwana nieletność karna, kończy się z rokiem 18-ym. Ale przestępca nieletni, powyżej lat 16, umieszczony w zakładzie poprawczym, musi być trzymany zdala od młodszych.

Ważnym środkiem, przeciwdziałającym zwyrodnieniu dziecka, jest wyrwanie go z otoczenia rodziców „niegodnych"; wskutek tego, trybunał powinien usuwać opiekunów takich od władzy rodzicielskiej i składać ją w ręce państwa, za pośrednictwem „towarzystw patronalnych."

Dzieci, które przestępstwo popełniły, powinny być umieszczane w specyalnych zakładach, mających charakter poprawczy i wychowawczy. Po odebraniu wystarczającego wykształcenia szkolnego i zawodowego, i tylko wobec pewności, że nieletni przestępca będzie strzeżony, i że pracę dostanie, może on być wypuszczony na wolność tymczasową. Wogóle „opieka administracyjna" powinna trwać do pełnoletności.

Dla zapobieżenia żebractwu i włóczęgostwu, należy karać rodziców, popychających do tego swe dzieci, odbierać im władzę rodzicielską; uczciwym zaś, lecz nie mogącym czuwać nad swemi dziećmi, pomagać przez udzielanie ulg szkolnych i stwarzanie instytucyj, jak ochrony, przytułki i t. p. Co do sierot, należy je umieszczać w ochronach czasowych, gdzie uczyłyby się pracy.

Za jeden ze środków, który najsilniej odradza organizm i ducha, uważa sekcya pracę zawodową, głównie na roli, a zatem, na powietrzu.

Wreszcie sprawa prostytucyi wśród dzieci poruszyła wszystkich członków, zwłaszcza senatora Bérenger'a (o uwalnianiu od pierwszej kary za niecięższe przewinienia i doliczaniu jej przy recydywie), ośmieszanego, szczególnie przez młodzież i artystów, za projekty przeciwko nieprzyzwoitości publicznej. Uchwalono konieczność umieszczania tych dzieci nieszczęśliwych— wśród nowych warunków życia: w odpowiednich zakładach wychowawczych. Ale ponieważ sekcya uważała kwestyę za mało opracowaną i zgłębioną, pozostawiła ją do przyszłego zjazdu.

Na zakończenie słówko o Japonii. Od 1867 r., tj. od początku panowania obecnego jej cesarza Meidżi, wiadomo, jak gwałtownie wyzbywa się ona swej zeschniętej starej skóry azyatyckiej i nie opuszcza sposobności nauczenia się czegokolwiek lub pokazania swych zdobyczy. Na kongresie ogólny podziw wzbudziły wspaniałe wydawnictwa: tłómaczony przez Kadgi'ego „Rys historyczny urządzeń karnych i penitencyarnych w Japonii," (Tokio, 1895, 6 tomów in folio) i „Regulamin więzień w Japonii," przełożony na franc. przez Takedę, z 4 atlasami in-folio rysunków kolorowanych i planów. Na posiedzeniu zebrania ogólnego, senator Teofil Roupel, dał pobieżny szkic dziejów prawa japońskiego, który wystarczył jednak dla potwierdzenia raz jeszcze tej hipotezy, iż ewolucya prawa u wszystkich ludów przechodziła okresy jednakie.

al-Bar.

PAMIĘTNIK.

Szczery żal.

Gazeta lekarska uczciła pamięć niedawno zmarłego dr. W. Matlakowskiego, poświęciwszy mu cały numer, wypełniony wspomnieniami i oceną jego działalności. Ten akt żalu i uznania sprawia bardzo przyjemne wrażenie nie tylko tem, że złożono hołd człowiekowi wartościowemu i zasłużonemu, ale także tem, że odbija się wyjątkowem światłem na szarem lub ciemnem tle naszych stosunków. Kto, jak my, przyzwyczajony jest do zawiści, nieprzyjaźni, przeciągania przez błoto oszczerstw ludzi bardzo cennych, do lekceważenia, niewdzięczności i wszelkiego rodzaju podłostek, ten ze zdumieniem patrzy na cześć kolegów dla swego zmarłego towarzysza. Tyle w niej wylało się głębokich uczuć, tyle serdecznego smutku, tyle tkliwych łez, tyle bezinteresownych pochwał, że czytając je, co chwila zapytywaliśmy siebie: czy to grono płaczących serc skarży się u nas? Czy my rzeczywiście posiadamy takie silne związki dusz? Czy to nie sen lub bajka? Na szczęście — nie. Nie przeczymy, że Matlakowski był osobistością wyjątkową, ale chyba bardziej wyjątkowa jest ta cześć, jaką mu okazano. Że ona nie zawsze zależy od wartości tego, kto do trumny się kładzie, przekonywamy się nieraz. Ludzie wielkiej zasługi i szlachetności schodzą do grobu śród powiewów chłodu i sztucznych westchnień. Ale chociaż ta obojętność bywa częstszą, zaznaczyć należy niezwykły fakt, w którym ona ustępuje miejsca prawdziwemu żalowi.

Ryzykowny wyścig.

Omal nie powtórzyliśmy słynnego wyścigu dystansowego z ludźmi. Zeszłej niedzieli na torze Towarzystwa cyklistów odbyła się forsowna gonitwa. Zapaśnicy mieli przebiedz 100 wiorst o godzinie 4½ po południu przy 20-kilku stopniach gorąca. Jeszcze nie wiemy, czy który z nich nie przypłaci swego wysiłku życiem lub chorobą. Ale gdyby nawet wyszli z walki bez szkody, Towarzystwo cyklistów nie powinno urządzać takich szalonych turniejów w porze, w której samo stanie na słońcu jest dokuczliwem, a cóż dopiero jazda wyścigowa przez 3 godziny! Że ten i ów nierozważny młodzieniec, zaufany w swe zdrowie i siły, oświadczy gotowość do podjęcia tak ryzykownego mozołu, to jeszcze nie powód i nie racya, ażeby zarząd, od którego wymagać należy rozwagi, wystawiał ludzi na niebezpieczeństwo. Niech on uświadomi sobie, co odpowiedziałby rodzicom, którzyby stracili syna od porażenia słonecznego lub apoplexyi w wyścigu. Naszem zdaniem, tego rodzaju długie gonitwy nie powinny być nigdy urządzane w najskwarniejszych miesiącach letnich, a ludzkość nie na tem nie straci, że dopiero w jesieni lub na wiosnę dowie się, kto pobije ostatni rekord o $^{10}/_{100}$ sekundy.

Także mentor.

Gdyby nie świeża wzmianka w jednem z pism, nie wiedzielibyśmy i nie bylibyśmy ciekawi, kto jest właściwie p. Gros (pseudonim), puszczający z pióra w kilku dziennikach fejletonowe bańki mydlane. Dzięki przypadkowi teraz wiemy, że jest to p. Kosiakiewicz. Szanowny ten autor, prawdziwy mistrz w zsyłaniu wiatrów, zaczął nam dawać rozmaite lekcye, rady i napomnienia. Tak np. podał projekt założenia Akademii warszawskiej i nawet zamianował kilku jej członków, obecnie znowu w „liście otwartym do p. W. Berenta" gromi naszą krytykę, a raczej jej parodyę, gdyż właściwie nie mamy „ani jednego krytyka." Dla zrozumienia rzeczy objaśniamy, że p. Berent jest debiutantem literackim, autorem *Fachowca*, młodzieńcem uzdolnionym, ale mającym więcej powodów do skromności, niż praw do dumy i przyjmowania „listów otwartych." Otóż p. Gros przepowiada mu, że został podniesiony w górę dlatego, ażeby potem rzucono go o ziemię. W tej wróżbie tkwi historya losu samego proroka, który niepotrzebnie został podniesiony, a dziś spada. Radzibyśmy jednak wiedzieć, który akt jest według niego dowodem braku u nas krytyki: czy ten, kiedy p. G. jechał w górę, czy ten, kiedy spada na dół. Zwracamy mu uwagę, że do nas nie może mieć żadnej pretensyi, gdyż nie podnosiliśmy go wcale.

Święcenie niedzieli.

Po długim śnie znowu obudziła się sprawa wypoczynku niedzielnego dla pracowników handlowych. Jest tylko ta różnica, że dawniej projekt wyszedł od subjektów — bezskutecznie, a dziś poruszyli go sami kupcy, z rezultatem względnie pomyślnym. Wygląda to, jak gdyby zwierzchnicy uważali za punkt honoru nie usłuchać wniosku swych podwładnych, lecz zapomniawszy o nim, niby obdarzyć ich obecnie swą łaską z pobudek osobistych. W gmachu giełdy zebrało się więc kilkudziesięciu kupców kolonialnych, którzy większością głosów przyjęli następującą uchwałę: „Zamykanie handlów kolonialnych przez pewną liczbę godzin raz na tydzień jest niezbędne ze względu na konieczność udzielania wypoczynku subjektom i służbie, tudzież właścicielom, z których wielu pracuje na równi z podwładnymi." Na zasadzie takiego poglądu postanowiono na razie zamykać sklepy od godz. 3-ej po południu w każdą niedzielę, zimą i latem, z wyjątkiem tych dni przed Wielkanocą i Bożem Narodzeniem. Umowa obowiązuje każdego z podpisanych, o ile jego sąsiedzi-współzawodnicy przystąpią do niej w ciągu dwu tygodni. Do układów z nieobecnymi wybrano delegacyę. Takie nadzwyczajne, doryweze zebranie kupców dało im sposobność do pomyślenia o wielu innych sprawach. Tak np. uznano za rzecz konieczną zapisywanie się do zgromadzenia, za którego pośrednictwem dałoby się wiele kwestyj rozstrzygnąć. Nadto przyszli do przekonania, iż jest potrzebne wzajemne zapoznanie się i w tym celu zalecili przystąpienie do sekcyi handlowej Towarzystwa przemysłu i handlu. Istotnie, większość kupców warszawskich stanowi dotąd pod tym względem anomalię. Zasklepieni w ciasnem kółku interesów osobistych, nie wyglądają po za swe rachunki. Dlatego też przeprowadzenie jakiejś sprawy ogólnej

wymaga środków okólnikowych, najczęściej bezskutecznych. Powiedzieć coś o tem może Towarzystwo pracowników handlowych, których odezwy, rozsyłane kupcom, parę razy już były pokrywane milczeniem. Systematyczne zbieranie się i odbywanie narad w sekcyi handlowej może usunąć takie przeszkody i skłonić członków do rozpatrywania wszelkich wniosków, dotyczących nietylko handlu, ale i spraw personelu sklepowego, zawsze przecież ściśle związanych z interesami właściciela.

Posłannictwo sztuki.

W sezonie bieżącym „ogródki" warszawskie zdobyły nową siłę odżywczą: zwykłe przedsiębiorstwa aktorskie weszły w spółkę z reporteryą i — trzeba im oddać sprawiedliwość — zrobiły na tem dobry interes. Od tej bowiem chwili reklama dmie potężnie we wszystkie trąby i piszczałki dziennikarskie, hypnotyzuje publiczność, używa środków kuglarskich. Wyszarzałe, przesycone starym tłuszczem sztuczki, na prędce sklecone przez autorów, żądnych grosza, dziś spłukane i podsmarzone na reklamie, idą na scenę jako smaczny posiłek. Publiczność cierpliwie przełyka tę strawę i nawet bardzo nie sarka, dzięki sąsiedztwu bufetów, które pozwalają niesmak zalewać piwem. Panom „współdyrektorom" wszakże chodzi jedynie o spędzenie gości do kasy, a nie o to, jak będą uraczeni; więc starają się ciągle podniecać uwagę ogółu: „Wczoraj odbyła się próba generalna sztuki, która całą Europę doprowadziła do szału entuzyastycznego." „Wkrótce wejdzie na deski sceniczne nowość, której artyści wyuczyli się i wykonają bez pomocy suflera." „Nasz znany ulubieniec publiczności pisze nowe kuplety." „Współdyrektor teatru pojechał za granicę w celach artystycznych." „Na scenie publiczność zobaczy nowość: jazdę na rowerach. W tym celu aktorzy na gwałt ćwiczą się w sporcie." Do takich środków przyzwyczailiśmy się na każdym kroku, więc one mniej rażą. Ale bezczelność reklamy w innej formie przebrała już miarkę. Weszła ona nietylko na kurtynę, lecz na samą scenę. Wyłazi ohydnie przez usta aktorów w kupletach i dowcipach. Widzieliśmy reklamy, noszone na plecach ludzkich i grzbietach oślich; nie widzieliśmy dotąd w utworach scenicznych. Takie posłannictwo obrała sobie *sztuka* w nowym okresie przedsiębiorstwa ogródkowego.

W siedzibach letnich.

Znaczna część Warszawy rozsiadła się w zaroślach sosnowych, napełniła je wesołym śmiechem kobiecym i okrzykami dziatwy. Jedni, szukający istotnie ciszy, spokoju, świeżego powietrza, ukryli się w kątach odosobnionych. Inni, pragnący urozmaicenia rozrywek, zamieszkali w domkach, pobudowanych gęsto systemem ulicy. Rzecz prosta, iż w takich warunkach małostkowość i próżność znalazły dla siebie grunt wyborny. Licho sklecone „wille" z cienkich desek drżą od jęku fortepianów, rozstrojonych na wilgoci; uginają się pod ciężarem całych garniturów mebli, otoman, krzeseł miękkich, kanap; gosposie na werendach prześcigają się w wystawach zasobów kredensowych, kobiety wachlują się i pocą, zakute w gorsety i opięte w suknie modne. Tak wygląda na pierwszy rzut oka *wieś miejska*. Po za tym „urokiem" są troski i niesnaski: swary sąsiedzkie o zbyt głośne wbijanie ćwieków do ścian, o wylewanie wody przed oknami itd. Ale największe zaognienie stosunków bywa przy walce o produkty spożywcze. Codzień ciągną wędrowni przekupnie z koszami, na które rzucają się gwałtownie zgłodniali spożywcy, a w sercach rośnie żal i nienawiść wzajemna, za wybranie bułek lepszych, ogórków, kartofli itd. Roznosiciele żywności tryumfują i drożą się; czasem właściciel letnich mieszkań wpada na nich jak piorun, rozpędza i nie pozwala przekraczać swego terytoryum za to, że sprzedają te produkty, które on posiada i usiłuje handel zmonopolizować. Przedsiębiorcy zasobniejsi pozakładali sezonowe sklepiki z lichym i drogim towarem. Pomimo to oblężeni przez tłumy, ledwie mogą dać rady. W braku rzetelnych przedsiębiorców, spekulacya i wyzysk rosną, a czasem bezkarnie wkrada się i oszustwo. Warszawiacy nie pojmują letniego wypoczynku na wsi bez koncertów i wszelkich widowisk. Korzystają z tego widrwigrosze. Niedawno jeden z nich w Otwocku rozlepił afisze, obwieszczające „wielkie świetne przedstawienie ze współudziałem Pytlasińskiego i Robineta, z aeronautą i wyścigiem *na trzech nogach*." Zebrało się sto kilkadziesiąt osób po to, ażeby zapłaciwszy po 30 kop., oglądać balonik bibułkowy i walkę malców. Wyścigu na trzech nogach nie było, ale za to oszust zebrawszy sporo grosza, urządził ucieczkę tylko na dwóch własnych nogach, żegnany gwizdaniem oburzonej publiczności. Tak sobie warszawiacy urozmaicają wakacye w zaroślach sosnowych. Nie nasyceni zielenią iglicy, rozstawili oni w cieniu drzew stoliki, pokryte—suknem zielonem...

W DALI.

Łódź. Firma petersburska „Simens i Halske" wniosła do rządu gubernialnego w Piotrkowie podanie o pozwolenie otwarcia w Łodzi zakładu oświetlenia elektrycznego miasta, fabryk i lokalów prywatnych. — Wytwórcy miejscowi postanowili urządzić wystawę wyrobów łódzkiego okręgu przemysłowego w październiku. — P. Kempiński wystąpił z wnioskiem utworzenia giełdy w Łodzi. Obecnie interesowani muszą odwiedzać po kolei każdego fabrykanta, czynić na oślep poszukiwania ze stratą czasu. Giełda byłaby znacznem udogodnieniem pod tym względem. — Dzięki ofiarności łodzian, słabowite dzieci wyznania chrześciańskiego korzystają obecnie z czterech siedzib letnich. Ogółem z pomocy tej skorzysta w r. b. 360 dzieci. — Towarzystwo pracowników handlowych marzy o własnym gmachu i czyni stosowne zabiegi. — Według *Tygodnia*, położenie rynku łódzkiego jest krytyczne w chwili obecnej. Niektórzy bankierzy wprost odmawiają dyskonta, tłomacząc się brakiem gotówki.

Radom. Dr. Henryk Fiedler, pierwszy z lekarzy naszych szczerze zainteresował się surowicą antibłonicową i osobiście przysposobił się za granicą do stosowania tego środka; obecnie już może się pochwalić pomyślnym rezultatem swej pracy. Leczył on surowicą od 8 stycznia do chwili obecnej. Na 38 chorych zmarło 9, czyli 25%. Śmierć zdarzała się tylko w wypadkach zbyt późnego szukania pomocy. — Miejscowe Towarzystwo dobroczynności od lat siedmiu wysyła ubogie dzieci na kuracyę do Solca. Dziś ogół coraz bardziej zaczyna się zajmować tą organizacyą miłosierną, a lekarze, szczególnie pp. Bronisław Piątkowski, Stanisław Idzikowski, nie szczędzą czasu i zabiegów. Nadto dr. Daniewski, naczelny lekarz zakładu, wyjednał znaczną zniżkę opłaty za kąpiele. Prócz tego zarząd kolei Dąbrowskiej na prośbę rady gospodarczej Towarzystwa dobroczynności, udzielił biletów przejazdu bezpłatnego dla dzieci z Radomia do Kielc i z powrotem. — P. Józef Helbich czyni usilne starania, ażeby we wrześniu mógł przyjść do skutku drugi jarmark na konie i wogóle na inwentarz ras poprawnych. Tym razem jest bodźcem okólnik zarządu stadnin skarbowych, poszukującego 1,000 wierzchowców dla armii.

Odesa. Przybyło tu przeszło 500 pogorzelców z Brześcia Litewskiego w nadziei znalezienia zarobku. Spotkał ich wszakże zawód; jedyną pomocą jest odprawienie ich z powrotem. Zajął się tem miejscowy komitet pogorzelców. — Według *Grażdanina*, w sferach właściwych rozpatrywany jest obecnie projekt utworzenia nowej gubernii czarnomorskiej, z zarządem w Noworosyjsku. — Powszechne zajęcie budzi wystawa budownictwa i sprzętów domowych. Większą część produktów dostarczyli wytwórcy miejscowi; z innych miast nadeszło niewiele, prawdopodobnie z tego powodu, że tylko mieszkający w Odesie otrzymają medale. Wogóle wystawa odznacza się bogactwem i urozmaiceniem, ale znać pośpiech w urządzeniu i razi brak miejsca. Między innymi są tam okazy z Warszawy (talerze, tace, etażerki fabrykanta Dobrowolskiego). Firma Olszewicz i Kern wystawiła pawilon elektryczny. Do działu artystycznego nadesłała rzeźby p. Ewa Kulikowska z Kijowa; miejscowy zaś artysta-rzeźbiarz, p. Jacuński, wystawił również kilka prac pomniejszych.

Petersburg. Wązkotorowa kolej, położona pomiędzy stacyą Czudowo (drogi Mikołajewskiej) i Starą Russą przystępuje do wspólnej „eksploatacyi z Rybińsko-Bołogoską. Na mocy ustawy budowa gałęzi od stacyi Bołogoje (drogi Mikołajewskiej) do Pskowa, przechodzi pod zarząd Towarzystwa, dziś już kolei „Rybińskiej," zamiast „Rybińsko-Bołogoskiej." Prezesem zarządu jest p. A. Purgin Dyrektorami pp. J. Utin, A. Bunge, S. Spiridonow i K. Jastrzębski. Kandydatami na dyrektorów pp. A. Rotkow-Ražnow, O. Berson i R. Krimmes. Oprócz pomienionych pięciu dyrektorów, w przyszłem nadzwyczajnem zgromadzeniu mają się odbyć wybory szóstego.— D. 25 kwietnia r. b. zatwierdzono ustawę kolejową Towarzystwa spożywców w Petersburgu. Ma ono na celu utworzenie sklepów, dostarczających członkom produktów, na warunkach dogodnych: mają oni również otrzymywać zyski odpowiednie do ofiarowanej na tę rzecz sumy. 27 czerwca w gmachu Instytutu inżenierów komunikacyi odbyło się pierwsze ogólne zgromadzenie tego Towarzystwa, liczącego już 1,600 członków, pod przewodnictwem p. Suszczowa. Kapitału złożono 30,000 rubli. — W 24 numerze *Prawdy* była wzmianka o książce „Charitas," wydanej dla pomnożenia zasobów Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu i o zysku z jej sprzedaży, wynoszącym do 3,000 rs. Obecnie z przyjemnością nadmieniamy, iż suma ta zwiększyła się przeszło o 2,000 rubli i kasa dobroczynna zbogaconą została o 5 tysięcy kilkaset rubli. — Na porządku dziennym jest obecnie walka z grzybkiem *Merulius lacrimens*, posiadającym zjadliwą własność rujnowania drzew oraz zdrowia ludzi, zamieszkałych w budynkach, dotkniętych owym pasorzytem. W celu zbadania sposobów niszczenia go, stworzono komisyę pod prezydencyą radcy tajnego, inżeniera-architekta, p. Kitnera, profesora Instytutu inżenierów cywilnych.

J. T. Nałęcz.

SPRAWY EKONOMICZNE

NADPRODUKCYA SPIRYTUSU I ŚRODEK RATUNKU.

Nadprodukcya spirytusu może zastać strasznem brzemieniem nad przemysłem gorzelniczym. Ministeryum skarbu ogłosiło ostrzeżenie, aby z tego powodu wstrzymywano się od budowy nowych fabryk i rozszerzania wytwórczości istniejących gorzelni. W guberniach monopolowych wprost zabroniono zwiększania produkcyi spirytusu, tem bardziej, że przewidziane jest zmniejszenie spożycia w owych guberniach na 10%. Już dzisiaj wytwarzanie na wywóz nie daje zysku, a nawet przynosi stratę. Wszelkie zatem nadzieje na przyszłość pod tym względem zniknąć powinny, jeśli zważymy, że w Niemczech w ubiegłym roku gorąco zalecano skarmić część kartofli, zamiast przerabiać na spirytus i jeszcze więcej przeciwdziałać nadprodukcyi i zniżaniu cen, które spadły do niesłychanej cyfry: 29 marek za hektolitr, a kontrolowane

zapasy wynosiły pod koniec kampanii tegorocznej 46 milionów litrów, tj. na 16 mil. więcej niż daje średnia cyfra za ostatnie 5 lat! Użycie spirytusu do picia zmniejszyło się w Niemczech o [illegible], wywóz spadł z 87 milionów litrów 1885 r., do 7,4 milionów w 1894 r.! Rosya i Austrya wywiozły razem w r. 1893 około 53 milionów litrów, tj. wywóz ich zmniejszył się na 25%. Leży to w naturze rzeczy, że eksport nie może się już zwiększać, gdyż prawodawstwo państw wwozowych, sprowadziło istną rewolucyę nałożeniem wysokich ceł wwozowych i stworzeniem przez to własnych gorzelni. Dotyczy to przedewszystkiem Hiszpanii i Portugalii, Rumunia zaś zamiast wwozić, silnie już dziś współzawodniczy z wywozem rosyjskim. Nasze gorzelnictwo powinno wejść w ślady Niemiec i stworzyć zbyt spirytusu denaturowanego, a zbyt ten może być wielki. W Niemczech r. 1880 wynosiło użycie tego produktu 8 milionów litrów, od roku zaś 1888, kiedy wprowadzono wypróbowany przez państwo środek denaturowania, doszło do 38 mil. litrów; w roku 1892/93 użyto go dla celów przemysłowych 60 mil., z czego połowę do palenia. Oprócz tego niemieccy właściciele gorzelni spodziewają się znacznego powiększenia zbytu spirytusu denaturowanego, gdyż profesor Hartman w Charlottenburgu przy swoich doświadczeniach z motorami gazowymi odkrył, że mięszanina nafty ze spirytusem lepsze daje rezultaty, niż sama nafta.

Innem światłem nadziei dla przemysłu gorzelniczego jest lampa stołowa. Wynaleziono bowiem w Niemczech taką, która przy zastosowaniu palników Auera daje płomień jasny i niemigający. Skoro się ten wynalazek okaże stanowczo praktycznym, produkcyę spirytusu można będzie ogromnie powiększyć *). Zatwierdzenie już przez Radę państwa monopolu w wielu guberniach każe się spodziewać znacznego zmniejszenia użycia gorących trunków, co jeszcze więcej skrępuje produkcyę. Wobec wszystkiego, co wyżej powiedziano, zwracamy się w imieniu dobra wytwórców do Towarzystwa przemysłu i handlu oraz do warszawskiej Rektyfikacyi, aby rozwinęły kwestyę denaturowania spirytusu, nie jak zwykle u nas, z punktu rozpraw akademickich, lecz praktycznie, dla wprowadzenia denaturowania w szerokich rozmiarach, gdyż bez tego upadnie gorzelnictwo, a z niem tysiące gospodarstw naszych. Prosimy więc Towarzystwo popierania rusk. przem. i handlu, aby wystąpiło jak najprędzej z podaniem do władz wyższych, o ogłoszenie prawideł zgodnych z obecnym stanem nauki i przemysłu i umożliwiających denaturowanie spirytusu na wielką skalę; do spółki zaś gorzelniczej zanosimy prośbę, aby część kapitału, który z chwilą wprowadzenia monopolu będzie mogła wycofać z rektyfikacyi, zechciała użyć na urządzenie fabryki denaturowania spirytusu. Nieuzasadnioną jest obawa, że ministeryum nie pozwoli denaturować wobec braku doskonałych środków po temu. Jeżeli w Niemczech, gdzie akcyza także niemała, bo wynosi 100 marek na hektolitr, pozwolono na tak obszerną denaturyzacyę, dlaczegóż nie można by uczynić tego samego w Rosyi, gdzie ministeryum rolnictwa tak troskliwie opiekuje się gorzelnictwem, tworząc premie wywozu, rektyfikatu i dla gorzelni rolniczych? Jeśli rząd niemiecki znalazłszy ogólnie skuteczny środek denaturyzacyi, przestał się obawiać nadużyć dlaczegóż nie miałby się pozbyć tych obaw rząd rosyjski? Radzimy Towarzystwu rektyfikacyi warszawskiej sprowadzić z koncesyonowanej fabryki chemicznej Sthamer Noacks et Comp. w Hamburgu środek denaturyzacyi, a mianowicie urzędowo oplombowany ocet drzewny, przeprowadzić z owymi preparatami odpowiednie próby i razem z ich wynikami podać do ministeryum prośbę o koncesyę na urządzenie fabryki denaturyzacyi spirytusu *).

F. Turkowski.

*) Dochodzi nas w tej chwili wiadomość, że próby prof. Hartmanna z lampami spirytusowemi uwieńczone zostały świetnym rezultatem i że pałac cesarza Wilhelma oświetlono lampami elektrycznemi. Należy się więc w krótkim czasie spodziewać ogromnych korzyści dla przemysłu gorzelniczego.

O PRAWDĘ.

Z hygieny życiowej.

Utrzymując w poprzednim artykule, że podniesienie poziomu wykształcenia fachowego akuszerek, wcale naprzód nie posunie sprawy, dalekim byłem od myśli nie uznać praw kobiety do nauki lekarskiej. To też zarzuty p. Zen. Piet., jakobym powstawał przeciw kobietom, garnącym się do zawodu lekarskiego, wydają mi się niesłusznymi.

W obecnym stanie rzeczy akuszerkę zaznajamiają jedynie z porodem, jako aktem fizyologicznym; przestrzeganie warunków hygienicznych, to cała jej przyszła działalność. Po za tem nic więcej się od niej nie wymaga; im bierniej się będzie zachowywała przy łożu rodzącej wobec samego aktu porodu, tem większa będzie jej wartość. Gdyby więc taką akuszerkę wtajemniczono i w przebieg aktu nienormalnego, a nawet zaznajomiono ze sposobami odpowiedniego postępowania, to sądzę, stan rzeczy nie zmieniłby się na lepsze: obok działalności samodzielnej akuszerki, już poniekąd uprawnionej, dawałby się zawsze we znaki brak ogólnego wykształcenia lekarskiego. Akt porodu — to nie jest sprawa czysto miejscowa; bierze w nim udział cały organizm; największe więc udoskonalenie techniczne akuszerki w jednym kierunku pozostałoby zawsze tylko połowicznem. Tak, a nie inaczej tę kwestyę pojmowałem. Wychodząc z tego samego założenia należałoby również widzieć mało korzyści z podniesienia poziomu wykształcenia akuszerek do rozmiarów, objętych programem z r. 1893 **), według którego ma być dozwolonem akuszerkom po uprzednich krótkich studyach pediatryi i syfilidologii, udzielać porad w zakresie tych specyalności. Z chwilą zaś kiedy od nich wymagano będą patent gimnazyalny i kilkoletnie studya na wydziałach medycznych, na równi ze studentami, — sprawa ta przyjmie znów inny obrót. Będziemy mieli już do czynienia z kobietą lekarzem, nie mającą nic wspólnego z dzisiejszym niższym personelem i która będzie miała nie mniejsze prawo od lekarza-mężczyzny do postępowania samodzielnego. Nie o takich więc kobietach myślałem, gdym słowa powyższe kreślił. Powstawać przeciw płci żeńskiej z dyplomem lekarskim jest dziś conajmniej anachronizmem; fakty nie zgadzają się z założeniem, że kobieta, nie posiada odpowiednich zasobów sił i umysłu, aby przynosić korzyść na posterunku lekarskim. Trzeba nie chcieć widzieć i być upartym filistrem, aby bronić tych twierdzeń gołosłownych. Niepodobna kobietom odmówić udziału w pracy na polu naukowem, jeśli niekłamany entuzyazm popycha je do współzawodnictwa z nami w dziedzinie medycyny. Przeszkody, jakie jeszcze w niektórych państwach były im czynione — w ostatnich czasach są usuwane. Lekarka jest już powołaną do życia i otrzymuje prawo obywatelstwa na drodze ustawodawczej. Szeregi tych towarzyszek naszej nauki i sztuki wciąż rosną; ich powodzenie świadczy najwymowniej o zapotrzebowaniu, a to ostatnie o racyi ich bytu. Nie o tych więc pracownicach, poświęcających się wyższym studyom lekarskim, mówiłem w poprzednim artykule. Miałem tam jedynie na myśli niższy personel lekarski, zarówno mężczyzn jak i kobiet, w obecnym stanie rzeczy; drogą niewielkich formalności, zwanych egzaminami felczerskimi i akuszeryjnymi, zdobywają sobie prawo do działalności leczniczej, której granice bardzo często są przekraczane. Wskazywałem braki akuszerek i „babek“ nie dla tego, że zastępy ich werbowane są z kobiet; przeciwnie, uznaję że śród niższego personelu lekarskiego kobieta jest zawsze mniej szkodliwą od mężczyzn; dowodem tego felczerzy, z kwalifikacyami fachowemi, nie zasługującemi nawet na nazwę pół-wiedzy, wyzyskujący w haniebny sposób naiwność ludzi ciemnych.

A oto jeszcze słówko:

Jeśli tu i owdzie, na równi z mężczyznami będą już nawet praktykowały kobiety-lekarze, nie rozwiąże to wcale kwestyi roztrząsanej przez nas. Jeśli lekarza-kobietę wezwie się do porodu, to tylko do nienormalnego, gdzie ona spełni to, co dziś wykonywa mężczyzna: siedzieć u łoża przez dni całe, poprzedzające poród kobieta - lekarz nie zechce, a liche wynagrodzenie akuszerek i babek (rs. 1 — 2 do 3) za czas pielęgnowania w małych miasteczkach — nie będzie dla niej niewystarczającem. Niższy personel lekarski kobiecy — musi więc pozostać i nadal. Należy tylko w interesie zdrowia dołożyć starań, aby uczynić go mniej szkodliwym, a to możliwem jest jedynie przy należytej nad nim kontroli.

D-r Sonnenberg.

*) Artykuł ten jest głosem wytrawnego specyalisty w zakresie gorzelnictwa. *Red.*

**) Program ten ogłoszono w jednym z numerów „Gońca Urzędowego“ z r. 1893.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Przemyślu urządziło bezrobocie 4,000 robotników młynarskich, kamieniarskich, mularskich i brukarskich.

Szkoły. Urzędy starszych tutejszych cechów rzemieślniczych zaznaczyły potrzebę co najmniej trzech szkół rzemieślniczych w Warszawie, według typu, zatwierdzonego w r. 1893. Między innemi w program ich powinny wejść wyroby drzewne i metalowe. Na otworzenie takich zakładów magistrat przeznaczył [illegible].

— Uniwersytet w Liege na wydziale inżeneryi i mechaniki ukończyli pp.: Justynian Wojciechowski z Warszawy z odznaczeniem, Ksawery Gnoiński z Petersburga i A. Szur z Grodziska.

— Dnia 13 września w Warszawie przy ul. Składowej nr. 3 otwarta będzie szkoła mechaniczno-techniczna z kursem 4-letnim. Wstęp mają kandydaci, którzy skończyli całkowity kurs szkół realnych lub przynajmniej pięć klas średnich zakładów naukowych. Opłata wpisowa 100 rs. rocznie. Dyrektorem jest p. Maurycy Mitte, inżenier górniczy z Petersburga.

— Egzaminy wstępne i poprawkowe w gimnazyum męzkiem w Kielcach rozpoczną się 29 sierpnia; zwykły kurs nauk — 6-go września. W progimnazyum męzkiem w Pińczowie egzaminy 20 go sierpnia. W klasie 3-ej miejsca niema.

Dobroczynność publiczna. W Płocku powstaje dom zarobkowy.

Zdrowie publiczne. W Japonii panuje cholera. Zachorowało 9,000 osób, zmarło 5,000.

Wystawy i zjazdy. W Monachium otwarto wystawę nieznanych jeszcze wynalazków ze wszystkich dziedzin techniki.

— Podczas wystawy w Niższym Nowogrodzie zwołany będzie zjazd członków straży ogniowych.

— Wystawę wyrobów metalowych w Warszawie zamknięto. Przez cały czas jej trwania, od 21 maja r. b. biletów wejścia sprzedano ogółem 83,225, z czego na robotnicze po cenie zniżonej przypada 12,992. Dochodu z biletów osiągnięto 17,165 rs. 55 kop.

— W Londynie otwarto szósty międzynarodowy kongres geograficzny.

— W Kijowie wyznaczono VI ty zjazd lekarzy rosyjskich. Termin od 21 do 28 kwietnia 1896 r.

Koleje i komunikacye. W Kolonii wkrótce odbędzie się zjazd przedstawicieli kolejowych, którzy będą obradować w sprawie bezpośredniej komunikacyi kolei zagranicznych z rosyjskiemi. Ma być poruszona również kwestya urządzenia pociągów powrotnych z zagranicy na wystawę do Niższego Nowogrodu.

— Z trzech projektów dworca centralnego w Warszawie, ministeryum komunikacyi uznało za najpraktyczniejszy połączenie przyszłego gmachu (na miejscu dworca wiedeńskiego) w najkrótszym kierunku tune

lem, zbudowanym pod Aleją Jerozolimską z wylotem poniżej Nowego Światu, a następnie wspólnym mostem dla ruchu kołowego i kolejowego, przerzuconym od Alei na Saską Kępę.

— Przystąpiono do budowy kolei Permsko-Kotlaskiej (długości 936 wiorst). Na ten cel przeznaczono 36 milionów rubli. Linia będzie skończona w r. 1899.

Konkurs. Magistrat m. Lwowa rozpisał konkurs na plany nowego teatru z terminem do 1 stycznia 1896 roku. Nagrody trzy: 3,000, 2,000 i 500 guldenów.

Wypadki. W Raudten pod Lignicą skutkiem złamania się hamulca pociąg wjechał do poczekalni. Dwie osoby zabite, wiele ciężko ranionych.

— Z Rzymu telegrafują, iż w prowincyi Udine grady zrządziły straszne spustoszenia.

— Z Paryża donoszą, iż pod St. Brieux wykoleił się pociąg. Zginęło 12 osób, ranionych około 50.

— W kopalni „Książę pruski" (Bochum) zdarzył się wybuch gazów. Wydobyto 34 trupy. Z 11 ciężko ranionych jeden umarł.

— Spaliło się miasteczko Sudyłków w gub. wołyńskiej. Blizko sto osób pozostało bez dachu i chleba. Tylko jeden dom był ubezpieczony.

— Pod Hiroszimą w Japonii pociąg wjechał w morze. Zginęło 140 osób.

— Przy pożarze fabryki spirytusu pod firmą Nagel w Hamburgu zginęło dziewięć osób.

Zmarli. Dr. Teodor Jendl we Lwowie; lekarz i literat.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dr. Namezowi w Płocku. Prosimy o dokładny adres.

P. K. w Melitopolu. Żądany dodatek wraz z przesyłką pocztową kosztować będzie rs. 2 kop. 50.

Uboga matka za pośrednictwem redakcyi *Prawdy* prosi pp. ziemian o kilkotygodniową gościnność na wsi dla jej syna, wycieńczonego ciężką chorobą.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюля 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.